Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 6,66 zł w tym 8% VAT NR 5 (1689) 3–9 luty 2023

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Prezes wstał z kolan

Kosmetyczka Kaczyńskiego

str. 5

Aniołki Andrzeja Dudy

str. 10

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
9 770867 223300 05

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 5ca15fe926

TYDZIEŃ Z GŁOWY

Pisowskie władze Polski czekają na wizytę prezydenta USA Joego Bidena prawie tak samo niecierpliwie, jak kiedyś czekały na wizytę Trumpa. Do Stanów polecieli Dudowi ministrowie – Przydacz i Siewiera. „Będziemy rozmawiać o kontaktach na najwyższym szczeblu” – powiedział Przydacz, aż przebierając nóżkami.

Zgodnie z życzeniem Radosława Sikorskiego Kaczyński wpłacił 50 tys. zł na ukraińską armię, czym zakończył wieloletni spór – także sądowy – o to, kto jest „zdrajcą dyplomatycznym” (Kaczyński powiedział publicznie, że Sikorski), a kto nieprzestrzegającą prawa kanalią (czego Sikorski o Kaczyńskim nie powiedział, chociaż wiadomo, że Kaczyński prawa nie przestrzega i kanalią jest). Za pomówienie Sikorskiego i nieprzeproszenie go Kaczyński miał zapłacić ponad 700 tys. zł. Ziobro nawet kodeks postępowania cywilnego chciał zmieniać, żeby ulżyć Kaczyńskiemu, ale teraz już nie musi.

„Willa plus” – tak opozycja nazywa inicjatywę Zjednoczonej Prawicy polegającą na tym, że za publiczne pieniądze kupowane są nieruchomości, potem przekazywane związanym z władzą fundacjom i stowarzyszeniom. Minister edukacji i nauki Czarnek (to z budżetu rządzonego przez niego resortu pochodzą pieniądze na zakup nieruchomości) odpowiedział na zarzuty, że wszystko jest zgodne z prawem, a dziennikarze mogą mu skoczyć.

Jeśli chodzi o przedwyborcze notowania partii, to mamy dwie wiadomości. Złą: PiS-owi wzrosło poparcie o 4 proc. i wynosi ono teraz 34,76 proc. I dobrą: gdyby opozycja się zjednoczyła, to mogłaby liczyć na 50,62 proc. głosów. Sondaż przeprowadził Instytutu Badań Pollster dla „Super Expressu”.

PiS-owi rośnie mimo „Willi plus” oraz takich faktów jak ten, że byłego posła PiS Tomasza G. sąd skazał na 2 lata pudła w zawieszeniu na 5 lat za „wyłudzanie kredytów, fałszowanie umów i posługiwanie się podrobionymi dokumentami”. Sąd podkreślił, że G. wykorzystywał trudną sytuację materialną różnych osób, również bezdomnych i alkoholików.

Na polecenie Prokuratury Krajowej agenci Centralnego Biura Antykorupcyjnego zatrzymali byłego wiceministra skarbu w rządzie PO–PSL Rafała Baniaka. Za jego zgodą podajemy nazwisko, a nie inicjał. Adwokat byłego wiceministra wydał oświadczenie: „Baniak jest osobą publiczną i nigdy nie uchylał się od udziału w czynnościach prowadzonych przez sąd czy prokuraturę. Gdyby został wezwany na przesłuchanie, stawiłby się na nie bez zwłoki”. Pewnie tak, ale o czym wówczas mówiono by w TVPiS…

Skoro o publicznej telewizji mowa… Artystka estradowa Maryla Rodowicz, do tej pory uchodząca raczej za piosenkarkę, która wysługuje się pisowskiemu reżimowi, udzieliła portalowi „Plotek” wywiadu, po którym trzeba by zmienić o niej zdanie. „TVP to reżimowa, rządowa telewizja. Artyści bojkotują festiwal w Opolu” – powiedziała Rodowicz. I dalej: „To przykra sytuacja, że rządzący doprowadzili do podziałów. Jak można być partią wiodącą i tak dzielić ludzi? Dlatego bym chciała, żeby przegrali wybory”. A co na to artysta Zenek Martyniuk?

Dziennikarze „Gazety Wyborczej” odkryli, że wójtek Obajt, prezes PKN Orlen, był informatorem Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, a agentka Beata Z., która Obajta prowadziła, została zatrudniona w Orlenie, po tym jak wyrzucono ją ze służby za zdefraudowanie publicznych pieniędzy. Pracownicy biura prasowego PKN Orlen wydali oświadczenie, w którym zaprzeczyli, jakoby wójtek Obajt kiedykolwiek współpracował z ABW. Teraz czekamy na oświadczenie pracowników ABW, w którym wyjaśnią, skąd pracownicy biura prasowego wiedzą to, czego wiedzieć nie powinni.

Pracownicy Orlenu – ale nie biura prasowego – od tygodni nie chcą wpuścić do firmy kontrolerów z Najwyższej Izby Kontroli, chociaż mają taki obowiązek. Wobec czego szef NIK Marian Banaś najpierw oświadczył: „Nie mogę tego akceptować”, a potem w prokuraturze złożył zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez pracowników Orlenu.

Militaryzm, militaryzm… Premier Morawiecki ogłosił, że Polska przeznaczy na wojsko 4 proc. PKB, ale na szczęście nie powiedział w którym roku. To już lepiej – chociaż ten pomysł też jest chujowy – zorganizować igrzyska. Gut-Mostowy (kiedyś z Gowinem, dziś z Kaczyńskim), wiceminister sportu i turystyki, powiedział, że Polska i Słowacja mogłyby zgłosić wspólną kandydaturę do zorganizowania zimowych igrzysk w 2034 r. A co z chlebem? A ze śniegiem?

Oferowany przez Amazon system sztucznej inteligencji nosi imię Alexa. Zapytano ją, kiedy wybuchnie III wojna światowa. Odpowiedź: 23 listopada 2023 r., 5 po szóstej po południu. Wówczas Rosja zbrojnie napadnie na Niemcy. Ciekawe, co by na to odpowiedziała naturalna inteligencja Błaszczaka…

Z URNY URBANA

Jednym z najchętniej wyciąganych przez prawicowców dział przeciwko Urbanowi było i jest jego rządowe rzecznikowanie. On sam nazwał je klątwą. Nie tyle nad nim, ile nad funkcją. Felieton jest z marca 1994 r.; warto zwrócić uwagę na puentę. Jakże aktualna.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Klątwa

Kiedy w 1981 roku gen. Wojciech Jaruzelski nominował mnie na rzecznika swojego rządu, w ogóle nie przypuszczał, że taki urzędnik występuje publicznie. Sądził, iż to powinien być jeden z jego licznych pisarczyków redagujących komunikaty i oświadczenia. W rozumieniu premiera W.J. grający na scenie politycznej reprezentant rządu winien wiekiem, talią, wzrostem, owłosieniem i postawą przypominać żołnierza z kompanii honorowej Wojska Polskiego. Wpadł więc w rozpacz, widząc Urbana w telewizji: tłuste to, łyse, stare, obrzydliwe, uszy mu sterczą, łysina świeci, a do tego stęka, dłubie przed kamerą w nosie, bawi się ołówkiem lub papierosem i huśta nogami. Jako człowiek wielkiej delikatności Generał poprzez osoby trzecie sugerował mi, żebym się schował i przestał razić naród, co zignorowałem, mając doskonałe mniemanie o swojej prezencji. Wówczas gen. Jaruzelski zażądał, abym znalazł sobie zastępcę w osobie młodej, smukłej i miłej blondynki, którą mógłbym prowadzić jak aktor teatru kukiełkowego lalkę. Marzenie o smukłej blondynce, która uwiedzie całą ludność, okazało się u władz dziedziczne. Mazowiecki wytrzasnął sobie Niezabitowską, a Pawlak pannę Wachowicz – lalkę Barbie, która jest najwyższym stopniem kontrastu z Urbanem. Przeciwieństwo obejmuje wiek, płeć, ciało, fryzurę oraz to, co jest pod nią.

Szukanie fizycznego przeciwieństwa Urbana nie było jednak jedynym nurtem marzeń o rzeczniku. Po objęciu władzy w 1989 roku i po wyborach w 1990 roku solidaruchy z kręgu Siły Spokoju uważały, że sparzyły się na Niezabitowskiej, i mówiły mi przypochlebczo, iż chciałyby mieć „takiego Urbana”, niechby identycznego obrzydliwca i skurwego syna, aby odwrotnej orientacji politycznej, czyli swojego. Gdybym więc np. w 1976 roku wszedł do Komitetu Obrony Robotników, a w 1980 roku do „Solidarności”, byłbym pasował im akurat. Cóż… Kiedy spoglądam w tył, uważam za bardziej dla siebie godziwe wcielenie się w dwudziestoletnią pięknotkę Miss Polonię z bardzo długimi nogami niż w członka opozycji, a potem wałęsowskiej sfory. Jak pies nie zacznie paść się trawą i dawać mleka, tak moim naturalnym powołaniem, a nie tylko wyborem, było trwanie przy Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Nawet w czasach, gdy oblubienica nie odwzajemniała uczuć.

Spieszę odczarować fotel rzecznika rządu. Nie ma on żadnych magicznych właściwości. Nikogo i niczego żaden rzecznik nie uratuje. Cóż radzę uczynić premierowi Pawlakowi, jeżeli już napatrzył się na pannę Wachowicz? Radzę otóż kopnąć się na Pragę i przejść po licznych tamtejszych barach, gdzie bywalcy zapijają piwem wódkę marki „Royal”, popluwając na błotnistą podłogę i na władzę też. Znaleźć bar najbardziej plugawy. Postawić za barem wyszczekanego cwaniaczka. Może to być również jakaś dama cycata i pyskata. Niech nalewa wódę do brudnych kieliszków, niech smarka do kufli z piwem i czka na gości. Niech swoje brudne łapy o paznokciach pokrytych obłupaną purpurą wyciera w swą tłustą ondulację, rzucając kurwami, chujami i szmatą do ścierania szczyn z kontuaru. Jeżeli dziennikarze dowiedzą się jeden od drugiego, że to ta barmanka w tym barze jest miarodajnym źródłem informacji o tym, co w trawie piszczy, co się u władz dzieje, co one kombinują, co się stanie, a co nie, jeśli ona pomiędzy nalaniem piwa do obtłuczonego kufla a czwartej sety zinterpretuje politykę rządu – będzie zupełnie wystarczającym, a być może doskonałym rzecznikiem.

Rzecz bowiem tylko i wyłącznie w tym, żeby rząd miał coś do powiedzenia i chciał mówić. Obecnie nie zachodzi ani jedno, ani drugie. □

sekr@redakcja.nie.com.pl

PRASA ŚNIADANIOWA

- Aukcję **Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy Agata Kornhauser-Duda** wsparła niebieską cekinową marynarką. Zainteresowanie było słabe, bo teraz mało kto występuje w wodewilu.
- 28 stycznia **Kancelaria Prezydenta Dudy** obchodziła **Światowy Dzień Lego.** Najwidoczniej przypadający również 28 stycznia Dzień Mobilizacji Przeciwko Wojnie Nuklearnej wydał się prezydentowi mniej ważny.
- Portal **Fronda.pl** ostrzega, że lewactwo każe jeść **robaki.** Szczególnie tłuste glisty w czarnych sutannach…
- Według **Zakładu Ubezpieczeń Społecznych** najczęstszą przyczyną zwolnień lekarskich w 2022 r. były **choroby układu kostno-stawowego.** Wszystkie bolączki Polaków tradycyjnie sprowadzają się do krzyża.
- Jak podaje **tygodnik „Niedziela”, Benedykt XVI** zrezygnował z urzędu z powodu bezsenności. Baranki boże trzeba było liczyć...
- Jako dowód wpłaty na rzecz **sił zbrojnych Ukrainy Kaczyński** pokazał wypisane ręcznie polecenie przelewu. Wszyscy, którzy liczyli na dwie plastikowe torby pełne gotówki, są nieco rozczarowani.

MARTA M.

Rys. TOMASZ WIATER

TRYBUNA LUDZI

Skąd prezes wytrzasnął 50 tys. zł?

Facebook

Kuba Grzyb: Wygrał w „Monopoly”, grając z Glapińskim i Obajtkiem na prawdziwe pieniądze.

Beata Staszak: Zaoszczędził przez lata na butach i szamponie.

Olga Olczak: Pożyczył od pani Janiny Goss z Orlenu.

Krzysztof Dz Stand up: Pan mnie pyta o pieniądze prezesa, a ja widzę w tym przedsiębiorców, nauczycieli, pielęgniarki, rolników duszonych inflacją i widzę prezesa NBP, który radzi przytulić się do kota, kota, którego Tusk odwraca ogonem i kłamie o tym, że w Polsce jest źle, a jest dobrze w naszym kraju, gdzie każdy dzień jest dobry. Dzień dobry i do widzenia.

Krzysztof Adamczewski: Sprzedał jakieś części od samolotu.

Patryk Zygo: Skąd wziął konto w banku? Oto jest pytanie.

Sebastian Tkacz: To ta koperta od Austriaka.

Artur Artur: Dorobił się na eksporcie wieprzowiny do krajów arabskich.

Michael Poblocki: Brat miał w skarbonce.

Maciej Dadej: Z kuwety.

Filip Banach: Z bankomatu. Tak jak ciepło jest z kaloryfera.

Piotr Dąbrowski: Od bezdomnego.

Marcin Grochala: Ruble wymienił.

Maciej Dadej: Glapa druknął.

Forum

BOG: Ciężką pracą zarobił.

Qśka QqRydz-Qqć: Ze skarpety. To tradycjonalista.

Wypowiedzi pochodzą z forum internetowego tygodnika „NIE” i Facebooka.

eprasa.pl 5ca15fe926

Grupka fanów trupka

Do czego potrzebny jest Instytut Pamięci Narodowej.

Rys. TOMASZ WIATER

Drżę na widok strzykawki. O wizycie u dentysty staram się zapomnieć. Nie lubię, jak ktoś wkłada mi palce do nosa, choćby to było moje dziecko. O podobnych okrutnych incydentach staram się zapomnieć.

Jednak nie wszyscy starają się wypierać z pamięci traumatyczne przeżycia. Unikać bólu, okaleczeń, złamań i pobicia. Są też tacy, którzy każdego ranka, dokonawszy wypróżnienia i wypiwszy kawę, walą się młotkiem w kolano. Następnie otwierają kawałkami szkła rany na nadgarstkach, które, zrobione tydzień wcześniej, jeszcze się nie zagoiły. Nie myją moszny pod prysznicem, bo lubią, żeby ich swędziała. I tak codziennie. Potem idą pracować do Instytutu Pamięci Narodowej.

Siadają przy biurku pośród góry celulozowych odpadów, w których tylko zbrodnie, mordy, morderstwa, zabójstwa, krwawa łaźnia, mokra robota, masakra, ludobójstwo, skrytobójstwo, tortury, likwidacja, rozstrzeliwania, gazowanie, podpalenie żywcem, prześladowania, poniżenie, wszeteczeństwo, nierząd i przestępczość.

Robota dla masochistów

Jakże trudna jest to praca, wiedzą każdy psycholog oraz kapłan. Nie bez powodu Chrystus nauczał, a Tadeusz Wojciech Eichelberger się z nim zgadza, że najgorszą reakcją na zranienie jest bezustanne powracanie do niego myślami, pielęgnowanie nienawiści do sprawcy nieszczęścia, a największym darem dla samego siebie jest przebaczenie.

Pracujący w IPN prokuratorzy chrześcijańskiej proweniencji jednak nie są też najlepszymi psychologami. Czynią wszystko, żeby zamęczać siebie i innych, abyśmy nie zapomnieli, cierpieli, na powrót przeżywali, szukali zemsty lub znajdowali powody do wyrównywania niepowetowanych krzywd zaznanych i zadanych przez ludzi, którzy już nie żyją.

Pierwsze pokolenie prokuratorów IPN, którzy zmarnowali życie na badaniu nieszczęść, mających tak niewiele osobistych radości, odchodzi właśnie na emeryturę. Nabawili się pylicy, grzybicy, drożdżycy paznokci, kurzajek, tocznia rumieniowatego przez kontakt ze śmierdzącymi, zawilgoconymi archiwaliami perforowanymi przez karaczany książkowe. Przez nabyty pesymizm, deklinizm, abnegację, defetyzm, depresję oraz bardziej subtelne nerwice mają koszmarne sny oraz nierozumiejące ich żony i dzieci. Niektórzy popadli w alkoholizm. Występują nawet o przywileje inwalidzkie. Nic dziwnego. Należy im się. Praca w IPN jest bardziej toksyczna niż w deratyzacji, a życie prywatne mniej więcej tak nieszczęśliwe jak życie krowy w ubojni bydła.

Odkrywcy niczego

Nikt jednak nie stara się zatrzymać tego szaleństwa, źródła narodowej infekcji psychicznej. W dwie dekady budżet IPN wzrósł 5-krotnie – z 70 mln do 400 mln zł, a zatrudnienie 30-krotnie. Ale nawet prokuratorska pensja wynosząca 20 tys. zł miesięcznie, nie może zrekompensować psychicznej i fizycznej degeneracji.

Gdyby historia taka, jaką prezentuje IPN, była nauczycielką życia, większość opracowań instytutu prowadziłaby do jednego generalnego wniosku: warto być świnią!

Prokuratorzy IPN niestrudzenie dowodzą, że świństwo popłaca, daje satysfakcję, zaszczyty, stanowiska i przepustkę do jeszcze większego świnienia. Z uporem dowodzą nieistnienia Pana Boga, gdyż gdyby On istniał, należałoby przyjąć, że Najwyższy promuje wyłącznie łajdactwa, pozostawiając ich sprawców bezkarnymi i okrytymi wieczystą sławą, a ofiary zimnymi trupami skazanymi na wieczną niepamięć.

Większość pracowicie zinwentaryzowanych przez IPN dramatów dowodzi, że oprawcom na ogół wiodło się znakomicie aż do końca. 85 procent owych dochodzeń to sztuka dla sztuki. Panowie prokuratorzy uprawiają ją najwyżej dla własnej masochistycznej satysfakcji lub apanaży.

Przez 24 lata IPN nie odkrył niczego, dla czego minionym pokoleniom w Polsce warto byłoby żyć.

Mniej więcej od osiemdziesięciu lat, zdaniem naukowców i prawników z IPN, nic takiego się na ziemiach Polski nie wydarzyło. Do wstąpienia Lecha Kaczyńskiego na fotel prezydencki, a od śmierci generała premiera Sikorskiego (obu zresztą zabili Rosjanie) nie było w Polsce żadnego przywódcy ani urzędnika wyższej szarży, którego czyny, w świetle rozumowania prokuratorów IPN, nie mogłyby być traktowane jak przynajmniej przestępstwa.

Kierunki rozwoju

Wyraźnie jednak widać, że instytut powoli staje przed kryzysem intelektualnym. Ta fabryka obróbki koszmarów zatrudniająca ponad 2,5 tysiąca ludzi zaczyna cierpieć na brak paliwa, którego przepalanie jest istotą jej egzystencji. Zbrodni popełnionych w okresie, którym szczególnie się interesują ci tzw. naukowcy, było za mało, no a z czegoś żyć trzeba. I tutaj widać wyraźną tendencję rozwoju instytutu w trzech kierunkach.

Po pierwsze, zadręczanie dzieci złem wszelakim w cukierkowej facebookowo-gamingowej formule. Aby przygotować młodocianych do przyszłej traumy i nieszczęść, biedy i niedostatku oraz prześladującego nasz naród pecha, IPN opracował i wydał szybką grę wojenną „Bitwa Warszawska". Jest dla tych, którzy, przez analogię do przeszłości, tracić będą życie w obronie Warszawy przed armiami Putina. Jest jeszcze „Bitwa o Anglię", a z gry tej wynika, że Dywizjon 303 wygrał II wojnę światową, oraz „ORP Orzeł", z której wnosimy, że ten jeden z dwóch polskich U-Bootów zatopiłby wszystkie niemieckie U-Booty, gdyby oczywiście sam nie zatonął pierwszy. IPN organizuje też turnieje szachowe, które co do zasady nie są imprezami społecznie szkodliwymi, natomiast utrudniają zrozumienie faktu, że czarne może być białe i na odwrót.

Poważny problem poważnych ludzi

Doktorzy i doktoranci opracowują metody prezentowania historii w formule zrozumiałej dla tiktokowych idiotów. Weźmy wielką wystawę „Gospodarka III Rzeszy" na Trakcie Królewskim w Warszawie. Złożony problem ekonomiki wojennej Hitlera opowiedziany jest na ośmiu ustawionych na świeżym powietrzu pylonach wysokości wzrostu przeciętnego pracownika IPN. Można się z tych pylonów dowiedzieć, że praca czyniła wolnymi polskich robotników przymusowych, i to Polacy, zwłaszcza dzieci w liczbie 200 tysięcy, przyczynili się do drugowojennej oraz obecnej potęgi Mercedesa, BMW, Siemensa, Thyssena, Hugo Bossa. Potęgę ekonomiczną tysiącletniego Rajchu wykuwali w pocie czoła nasi dziadowie dzięki temu, że Szkopy wzięły ich do galopu. Gdyby Niemcy wojnę wygrały, każdy Polak jeździłby wyprodukowanym w Poznaniu volkswagenem, tyle że już przed sześćdziesięciu laty.

W końcu kolejnym, zdaje się,

najniebezpieczniejszym kierunkiem rozwoju działalności IPN jest wszczynanie postępowań przeciwko osobom posiadającym jakieś informacje i dokumenty dowodzące zbrodni, których IPN nie może dowieść.

W 2 lata zlecono prokuraturom rejonowym 4, może 5 śledztw w sprawach. 2 skończyły się w sądach wyrokami – niezbyt uciążliwymi, ale zawsze… Problem polega na tym, że można dostać 8 lat krat za posiadanie dokumentu, nawet prywatnego, o którego przydatności dla działalności IPN wie jedynie IPN.

Jest to poważny problem poważnych ludzi, którzy rozumieją, że IPN-u poważnie traktować nie można. Aby historia nie została zupełnie zakłamana, lepiej by było przekazać PRL-owskie artefakty amerykańskiemu archiwum Hoovera.

Zatem czy prawo jazdy generała Kiszczaka, kwit z pralni piżamy Jaruzelskiego albo skrawek gazety „Neues Deutschland", w którym premier Mieczysław Rakowski własnoręcznie zakreślił nazwisko Lecha Wałęsy, na pewno powinny się znaleźć u Amerykanów? Ponieważ nie wiadomo, czy tak, czy nie, konstruowany jest w instytucie od zbrodni komunistycznych mechanizm prawny kryminalizowania takiego rozdawnictwa własności przodków przez dzieci, wdowy i wnuki. Będzie źle, ale na pewno będzie ciekawie.

IPN jak epidemia

Działalność IPN w ciągu już prawie ćwierćwiecza zmusza do refleksji, ponieważ z punktu widzenia człowieczeństwa z faktu, że chłopski milicjant utopił panicza rewizjonistę w gnojowicy, żadna uniwersalna nauka nie wynika.

IPN jest równie potrzebny jak epidemie dżumy, cholery i COVID-19, choć musimy zrozumieć, że te epidemie, choć niepotrzebne, są faktycznie istniejące. Walczymy z dewiacjami natury, ale tak naprawdę, jeżeli znikają, to bardziej w rezultacie samobójstwa, samozatrucia lub upadku pod ciężarem własnego niezrozumienia.

Oderwijcie się zatem od smartfonów, sztucznych wagin i penisów na baterię. Przetrzyjcie oczy. Czterech jeźdźców Apokalipsy po raz kolejny nadjeżdża. Chłopaki z IPN nie mają w tej sprawie żadnych wątpliwości poza jedną. Czy będzie to ostateczna Apokalipsa? A może Apokalipsa, jakich już były tysiące i będą jeszcze miliony, jeżeli oczywiście ten świat zamierza się kiedyś skończyć.

ROBERT JARUGA

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Biskup bydgoski Krzysztof Włodarczyk wydał dekret, w którym zakazuje ks. Romanowi Kneblewskiemu prowadzenia działalności medialnej. Ks. Kneblewski jest znany z działalności w mediach społecznościowych. W czerwcu 2019 r. dekretem bepe Jana Tyrawy został odwołany z urzędu proboszcza i przeniesiony na emeryturę z prawem zamieszkania w Domu Księży Emerytów w Bydgoszczy. Powodem były jego medialne wystąpienia. Dość kuriozalne. Zakaz obecny to reakcja na ostatni wpis duchownego zamieszczony na Facebooku, który dotyczył zbiórki prowadzonej w ramach Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Kneblewski zamieścił zdjęcie dzieci ubranych w mundurki Hitlerjugend, które zbierają pieniądze do puszki. Porównał tym samym wolontariuszy WOŚP do nazistowskiej formacji młodzieżowej. Ks. Kneblewski ma 71 lat. Kariery już nie zrobi. Tyle ma, co popyskuje. Jego dotychczasowa działalność wskazuje, że dekret biskupa może potraktować dowolnie. Będziemy mieli z nim jeszcze uciechę.

✚ W Poznaniu na Strzeszynie dzwony kościoła rzymskokatolickiego przy ul. Wańkowicza biją ponad 60 razy dziennie, również o dziewiątej wieczorem i w niedziele o siódmej rano. Mieszkańcy alarmują, piszą skargi, listy, rozmawiają z proboszczem. Nic z tego nie wynika. Klecha miał im powiedzieć, że jak jest dzwon, to ma bić, a jak się nie podoba, to ludzie mają się wyprowadzić.

✚ Wybuch gazu na plebanii kościoła ewangelickiego w Katowicach-Szopinicach wstrząsnął Polską. W wyniku eksplozji zginęła kobieta z dorosłą córką. Ojciec rodziny trafił z oparzeniami do szpitala. Eksplozja zniszczyła dużą część kamienicy. Do kilku redakcji trafił list podpisany nazwiskiem rodziny, która ucierpiała w wybuchu, w którym oskarża ona ks. Adama Malinę o szykany i grozi rozszerzonym samobójstwem. Rodzina miała bowiem trafić na bruk. Ks. Malina twierdzi, że wielokrotnie próbował załatwić polubownie sprawę, oferował im inne miejsce zamieszkania, ale jego pomoc była odrzucana. Zapewne sprawa ta będzie wyświetlana przez prokuraturę.

✚ Do nietypowego wydarzenia doszło w niewielkiej wsi Olszówka w województwie małopolskim. Dziennikarze lokalnego serwisu Limanowa.in donoszą, że parafia pw. św. Jana Chrzciciela padła ofiarą oszustów działających w internecie. Ukradli oni z konta parafii 400 tys. zł. Co ciekawe, księża milczą w tej sprawie. Ponoć kwota ta to w rzeczywistości limanowskiej góra szmalu, którą ta malutka parafia nie powinna dysponować.

✚ Ministerstwo Edukacji i Nauki przeznaczyło 500 tys. zł na docieplenie rzeszowskiego kościoła, w którym w 2018 r. odbywały się zajęcia dla dzieci i młodzieży. Rzecz w tym, że kościół jest dopiero w budowie, a fundacja, która miała organizować zajęcia, powstała dopiero w zeszłym roku. Tak ustaliły posłanki Koalicji Obywatelskiej Krystyna Szumilas i Katarzyna Lubnauer podczas kontroli w MEiN. I chcą sprawę zgłosić do Najwyższej Izby Kontroli. Da to niewiele, naszym zdaniem. Natomiast chcemy powiedzieć Czarnkowi, że cwaniakowanie na publicznej kasie to grzech i diabeł się cieszy.

✚ Nieznany sprawca zdewastował kościół w podpoznańskich Koziegłowach. Sprawca utopił figurkę Jezusa w chrzcielnicy i poprzewracał świece. Rzecznik prasowy wielkopolskiej policji mł. insp. Andrzej Borowiak informuje, że sprawca nie wyrządził większych strat materialnych, bo nie uszkodził fizycznie żadnego przedmiotu. Nie pochwalamy takich czynów. Oczywiście ten chuligański wybryk zostanie wciągnięty na listę okropnego prześladowania chrześcijan przez neomarksistów, czyli wszystkich, którzy domagają się odspawania Kościoła kat. od państwa.

✚ Tuż przed przejściem na emeryturę ks. Stanisław K. z parafii w Domostawie przelał na prywatne konto 2 mln zł z konta parafialnego. Gdy sprawa wyszła na jaw, ksiądz twierdził, że to jego prywatna kasa. Wyjeżdżał do USA i tam pracował fizycznie na budowach, a także zarabiał, uprawiając aronię, maliny i borówki na 1,5-hektarowym polu. Z ustaleń prokuratury wynika, że owszem, jest to prawda, ale nie cała. Pół miliona złotych nie było własnością duchownego. Byłemu proboszczowi śledczy przedstawili zarzuty. Gdy ma się 2 bańki do dyspozycji, to można się w końcu pierdolnąć o pół bańki, nie?

✚ – Ktoś w tym kraju musi przeprowadzić rozdział Kościoła od państwa – podkreślił na spotkaniu w Kielcach lider Polski 2050 Szymon Hołownia. I tym kimś ma być właśnie Hołownia?

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

eprasa.pl 5ca15fe926

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Proszę Państwa, to Horała
U Horały wielka wola
Za to wiedza bardzo mała
Taka już Horały dola

Marcin Horała zna się na gospodarce morskiej i żegludze śródlądowej, bo był członkiem komisji sejmowej zajmującej się tymi dziedzinami. Jako poseł Prawa i Sprawiedliwości jest ekspertem od prawa i sprawiedliwości: skończył prawo na Uniwersytecie Gdańskim oraz zasiadał w sejmowej komisji sprawiedliwości i praw człowieka. Ma pojęcie o ustawodawstwie, ponieważ był członkiem komisji ustawodawczej. Był wiceministrem infrastruktury, czyli jest specjalistą od infrastruktury. Teraz jest wiceministrem funduszy i polityki regionalnej, zatem musi dużo wiedzieć o funduszach i polityce regionalnej. Nade wszystko Horała musi być fachowcem od central, portów i komunikacji i dlatego rząd premiera Morawieckiego uczynił go pełnomocnikiem do spraw Centralnego Portu Komunikacyjnego.

Komentując ostatnio klauzulę sumienia tych lekarzy skurwysynów, którzy odmówili aborcji niesprawnej intelektualnie 14-latce zgwałconej przez krewnego, Horała zadał prowadzącemu program telewizyjny „Kawa na ławę" redaktorowi Konradowi Piaseckiemu pytanie: **„Jak by pan nazwał kraj, w którym np. muzułmanin jest zmuszany do jedzenia wieprzowiny, że ma obowiązek, a jak nie, to zostanie zwolniony z pracy albo będzie ukarany?"**.

Tym samym poseł, wiceminister i pełnomocnik Horała wykazał się kolejnymi talentami. Głęboką wypowiedzią porównującą opresyjność w krajach muzułmańskim i ultrakatolickim udowodnił, że byłby świetnym ginekologiem, gastronomikiem i hodowcą świń. Tylko ciekawe, co by Horała zrobił, gdyby te inteligentne zwierzęta nie chciały wobec niego zastosować klauzuli sumienia…

Młotki z młotkami

Palcem robieni katotalibowie z PiS-u chcą zburzyć pomnik Xawerego Dunikowskiego, bo kojarzy im się z komunizmem.

Wojewoda warmińsko-mazurski Artur Chojecki nakazał władzom Olsztyna rozbiórkę pomnika Wyzwolenia Ziemi Mazurskiej autorstwa Xawerego Dunikowskiego. Chojecki, działacz PiS i absolwent Wydziału Teologii Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, podpiera się opinią prezesa Instytutu Pamięci Narodowej Karola Nawrockiego, który orzekł, że pomnik gloryfikuje komunizm i został w 1954 r. odsłonięty, aby uczcić zbrodniczą Armię Czerwoną, która zniewoliła Polskę i Polaków.

Zbyt wiele walk

Nawrocki nie zauważył, że żaden element pomnika nie wychwala komunizmu ani Armii Czerwonej. A dwa charakterystyczne pylony (zwane też szubienicami) symbolizują niezamknięty łuk triumfalny, co daje pole do rozmaitych interpretacji. Jedna z nich jest taka, że mistrz zakpił z niezwyciężonych czerwonoarmistów. Mówił o tym były poseł Kukiz'15 i jeden z liderów Kongresu Nowej Prawicy, entuzjasta historii Andrzej Maciejewski. A historyk sztuki prof. Lechosław Lameński z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego twierdzi wręcz, że Dunikowski w swoich pracach operował ukrytym kodem. Ale prezes IPN – jak finezyjnie ujął to prof. Sergiusz Michalski, ekspert w zakresie historii sztuki nowożytnej i nowoczesnej – **„eksbokser, który, jak się zdaje, zbyt wiele walk stoczył bez kasku ochronnego"**, nie tylko nie ma pojęcia o twórczości Dunikowskiego, ale też szwankuje mu zmysł obserwacji.

Kiedy wódz myślał

Gdyby Nawrocki nie był zupełnym ignorantem, toby wiedział, że Dunikowski w 1949 r. wysłał na konkurs do Moskwy popiersie Lenina. Wodzowi rewolucji nadał groźny, demoniczny charakter, podkreślony nie tylko rysami twarzy, ale również chropowatą fakturą. Lenin demon wzbudził polityczną konsternację i Dunikowski musiał tłumaczyć się z tego, co miał na myśli. **„To był moment, kiedy wódz pomyślał o rewolucji"** – miał odpowiedzieć artysta.

W 1953 r. Bolesław Bierut zorganizował konkurs na kilkunastometrowy monument Stalina, mający stanąć u wejścia do Pałacu Kultury i Nauki. Gdy Dunikowski przedstawił swój projekt ukazujący Stalina jako **„karła z wielką łapą"** (takiego określenia użył minister kultury Włodzimierz Sokorski), dygnitarze partyjni wpadli w popłoch. Bierut miał osobiście namawiać mistrza do zmiany projektu, ale ten pozostał nieugięty. Konkurs pozostał nierozstrzygnięty i ostatecznie Stalin w Warszawie nie stanął.

Z germańskich plemion

Gdy w Olsztynie PiS będzie burzyć pomnik Wyzwolenia Ziemi Mazurskiej (do jesieni 2022 r. był objęty ochroną, ale minister Piotr Gliński podjął decyzję o wykreśleniu go z rejestru zabytków), szef Ministerstwa Obrony Narodowej Mariusz Błaszczak zapowiedział, że inne dzieło Dunikowskiego, pomnik Czynu Powstańczego na Górze św. Anny, zostanie odnowiony.

Dunikowski zbudował monument na polecenie komunistów w 1955 r. i upamiętnia on nie tylko powstańców śląskich, jak twierdzi Błaszczak, ale też historię walki o polskość Śląska od średniowiecza do wyzwolenia przez Armię Czerwoną. W czasach PRL pod pomnikiem odbywały się uroczystości partyjno-państwowe, a po 1989 r. dzieło zostało przejęte przez nacjonalistów, a teraz przez PiS, które gra na antyniemieckiej nucie.

Zresztą gdyby Kaczyński i spółka byli konsekwentni, to powinni nie tylko zburzyć pomnik Czynu Powstańczego, ale zaorać Górę św. Anny. W miejscu, gdzie odbywają się teraz pisowskie narodowo-patriotyczne spędy, przed II wojną światową było nazistowskie mauzoleum upamiętniające obrońców niemieckiego Śląska. Co prawda w 1945 r. zostało wysadzone, ale pozostał monumentalny, wykuty w skale amfiteatr, który był zaprojektowany na 50 tysięcy osób. Podobne obiekty powstały w całej Rzeszy i miały nawiązywać do miejsc dawnych zgromadzeń mężczyzn z plemion germańskich.

Burząc dzieło wybitnego rzeźbiarza, jakim był Dunikowski (a także wiele innych pomników historii), katotalibowie z PiS biorą przykład z muzułmańskich braci, którzy na podbitych terenach dokonali rzezi na tysiącach zabytków w ramach prowadzonej kampanii niszczenia przedislamskiego dziedzictwa.

W państwie PiS, jeśli mają być pomniki, to tylko J.P.2, żołnierzy wyklętych, Lecha Kaczyńskiego i księdza Popiełuszki.

Rys. TOMASZ WIATER

ANDRZEJ SIKORSKI
nie@redakcja.nie.com.pl

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

Musimy przekonać ludzi do tego, że właśnie ***katolicyzm*** *jest jedynym sposobem do tego, żeby zachować* ***polską tożsamość,*** *zachować polską rodzinę i by w kraju, w którym mówi się po polsku, po polsku się mówiło. Pierwszorzędnie trzeba zadbać nie o pokój światowy, który jest ważny, ale o pokój w rodzinie, pokój w Kościele i o budowanie wzajemnych relacji.*

dr Artur Dąbrowski, Telewizja Trwam, 30 stycznia

W latach 70. zaczęto przekierowywać ***aksjologię unijną*** *w stronę* ***wartości lewicowo-liberalnych****. To wiązało się z osławionym marszem przez instytucje lewicy. Wtedy też pojawiły się pierwsze dokumenty polityczne, które eksponowały aksjologię.*

dr hab. Grzegorz Pastuszko, Telewizja Trwam, 29 stycznia

Wielu umyka prawdziwy sens obecnej ***wojny cywilizacyjnej*** *na Zachodzie. Kto chce go zrozumieć, musi obserwować znaki i symbole. (…) Wystarczy uważnie patrzeć, by dostrzec bliskość idei aktywistów na rzecz „wolnego wyboru", „praw reprodukcyjnych" i prawa do dysponowania przez kobiety własnymi macicami, a właśnie* ***kultem diabła****. W obu wypadkach chodzi o jedno i to samo: o neutralizację życia. O doprowadzenie do tego, by tajemnica życia, która zawsze kieruje myśl człowieka ku Bogu Stwórcy, została spętana, otumaniona, sparaliżowana. Na tym polega demoniczność: na przekształceniu Boskiego daru w ludzką decyzję, kaprys, kreację.*

Paweł Lisicki, DoRzeczy.pl, 29 stycznia

Tegorocznym laureatem „Paszportu" lewackiego tygodnika „Polityka" w kategorii teatr został ***Jakub Skrzywanek****, twórca antynarodowych i antykatolickich przedstawień realizowanych na salonowych scenach, które to sceny od lat w ten właśnie sposób lansują jedynie słuszny nowy wspaniały świat. W propagitkach Skrzywanka mamy więc oskarżanie Polski o antysemityzm, faszyzm i homofobię, mamy naturalistyczne sceny gwałtu, mamy zezwierzęcenie ludzkiego cierpienia i umierania, mamy też obrazoburcze* ***inscenizacje ślubów par homoseksualnych****. Autor tych obrzydliwości, ubranych w tzw. ekspresję artystyczną, niewątpliwie za nie został przez towarzyszy nominowany i wybrany.*

Tomasz A. Żak, PCh24.pl, 28 stycznia

Aborcja *w tej chwili jest zabijaniem dzieci poczętych w łonach matek. Staje się idée fixe wszystkich* ***neokomunistycznych ruchów,*** *które mają większość w wielu krajach zachodniego świata i w parlamencie europejskim. Bez żadnych skrupułów żądają, żebyśmy zabijali nasze dzieci, tak samo jak oni to robią. Przede wszystkim należy pamiętać, że to absolutne wykroczenie poza układ, na podstawie którego wchodziliśmy do Unii. Nie podpisywaliśmy żadnej deklaracji, że dostosujemy się do kwestii moralnych dotyczących rodziny czy sądownictwa.*

Ewa Kowalewska, Radio Maryja, 29 stycznia

Środowiska lewicowe rozochociły się w coraz dalszych postulatach. Najpierw mówili, ile ma być godzin lekcji religii, a ile ma nie być. I cisza. Następnie stwierdzili, że ***religię*** *trzeba* ***wyrugować ze szkół*** *(…). Teraz doszli do wniosku, że skoro nie ma odpowiedzi, to zróbmy tak, by spowiedź była od 18. roku życia (…). Nie można zakazać sumienia. Łamie się sumienie młodych ludzi i zniechęca się ich do tego, by odkrywali miłość Boga – bo to jest istota spowiedzi (…). Jeśli ktoś nas od tego odciąga, to znaczy, że sam ma dużo na sumieniu.*

dalej Dąbrowski

Kiedyś dawaliśmy radę w najtrudniejszych czasach, nawet komunizmu, gdy nas dzielili. Teraz nie możemy sobie poradzić, bo Polacy i katolicy korzystają z ***mediów,*** *które nie są polskiego ducha. (…) Jakże dużą rolę odgrywają media w obecnych czasach. To tak jak z pokusami.* ***Diabeł*** *nam podpowiada, żebyśmy spróbowali chociaż raz, i wchodzimy w to zło. Jeżeli tego się wyzbędziemy i zaczniemy myśleć po katolicku, będziemy też myśleć po polsku.*

o. Tadeusz Rydzyk, sympozjum w Akademii Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu, 28 stycznia

Z panem ***Biedroniem*** *różni mnie kilka spraw. Po pierwsze zaś: ja jestem kapłanem, a pan Biedroń nie. Po drugie: on jest* ***homoseksualistą,*** *a ja jestem mężczyzną.*

ks. prof. Paweł Bortkiewicz, PCh24.pl, 31 stycznia

wybrał **WALDEMAR KUCHANNY**
wkuchanny@redakcja.nie.com.pl

eprasa.pl 5ca15fe926

Kosmetyczka Kaczyńskiego

Mam zabawne wrażenie, że Jarosław Kaczyński, zmieniając ordynację wyborczą, wpadł w tę samą pułapkę, w którą wpadł Gierek w 1976 r.: miała być rewolucja, a wyszło jak zwykle.

Dlaczego akurat w liberalnej dekadzie Gierka do konstytucji Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej wpisano przyjaźń ze Związkiem Radzieckim i przewodnią rolę (a precyzyjnie **„siłę polityczną”**) Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej? Jak tłumaczy w znakomitej „Polsce Ludowej” prof. Andrzej Werblan, był to swoisty wypadek przy pracy. Zaczęło się od planu zmiany ustrojowej, a skończyło na praktycznie nieistotnych – choć irytujących społeczeństwo – deklaracjach. Rewolucja w kodeksie wyborczym przeszła, jak się zdaje, tę samą drogę.

Dał nam przykład Edward Gierek

Po ponurym grudniu 1970 r. w kręgach partyjnego establishmentu rozpoczęła się dyskusja na temat odpowiedzialności za sprawowanie władzy. Mówiąc w największym skrócie: Gomułka kazał strzelać, ale formalna odpowiedzialność spoczywała na Cyrankiewiczu. Który wszakże – skąd my to znamy – jako premier nie miał zbyt wiele do powiedzenia, albowiem decyzje podejmował niewystępujący w konstytucji I sekretarz PZPR.

Stąd pojawił się pomysł urealnienia zapisów konstytucyjnych poprzez przywrócenie urzędu prezydenta. Którym naturalnie byłby I sekretarz, co pozwoliłoby na jakiś rodzaj konstytucyjnego umocowania rzeczywistego władcy państwa. Prace nad takimi zmianami zapowiedział Gierek na VI Zjeździe PZPR w 1971 r. Powołano wewnętrzną komisję, którą kierował Henryk Jabłoński.

Co było umiarkowanie dobrym pomysłem, bo Jabłoński jako przewodniczący Rady Państwa – czyli de facto głowa państwa – bynajmniej nie był entuzjastą likwidacji swojego stanowiska. Nastąpiła ostra walka buldogów pod dywanem; Jabłoński zmiany bojkotował, popierał je Jaroszewicz, który Jabłońskiego nie znosił, i w końcu Gierek doszedł do wniosku, że nie warto brać udziału w całej tej zadymie, i orzekł, że nie chce być prezydentem. Ale machina ustawowa była już rozpędzona, wiele osób zaangażowano w jej prace i trudno było wywalić wszystko do kosza. Zwłaszcza że był to czas, gdy inne demoludy wpisywały do swoich konstytucji przyjaźń z ZSRR i towarzysze radzieccy wyraźnie na to czekali. Wiedzieli, że w pracach komisji konstytucyjnej pojawił się zapis o przyjaźni, i trudno było się wycofać. Jak ujmuje to Werblan: **„Wmanewrowaliśmy się w głupią sytuację”** i została już tylko ucieczka do przodu.

Nawiasem mówiąc, po protestach społecznych, listach intelektualistów i generalnym nastroju dezaprobaty zapisy konstytucyjne zostały nieco złagodzone w stosunku do pierwotnych propozycji. Zamiast **„nierozerwalnego sojuszu”** z ZSRR pojawiła się **„nierozerwalna więź przyjaźni”**, a zamiast **„przewodniej roli w państwie”** partia dostała miano **„przewodniej siły politycznej społeczeństwa w budowie socjalizmu”**. Dziś nie wygląda to na istotne ustępstwa, ale warto odnotować, że władza, wbrew obowiązującej dziś wykładni Instytutu Pamięci Narodowej, w jakimś stopniu liczyła się z opinią publiczną. Zapis o umacnianiu przyjaźni z ZSRR jako jednym z celów polityki zagranicznej PRL zaakceptował nawet prymas Wyszyński.

Żonglerka okręgami

Wracając do analogii z pisowską ordynacją: tu także zmiany miały być fundamentalne i umacniające pozycję I sekretarza. Jarosław Kaczyński kilkakrotnie – co najmniej od 2020 r. – sygnalizował pomysł wprowadzenia stu okręgów wyborczych w wyborach do sejmu. Byłaby to zmiana, która zagwarantowałaby PiS-owi trwanie przy władzy co najmniej do końca jego życia.

W największym skrócie: poza progiem ustawowym (5 proc. w skali kraju dla partii, 7 proc. dla koalicji) jest jeszcze tzw. próg efektywny czy naturalny: ile procent głosów w danym okręgu trzeba mieć, żeby załapać się na mandat. I oczywiście: im większe okręgi, im więcej mandatów, tym ten próg jest niższy. Przy obecnym podziale na 41 okręgów liczących 7 do 20 mandatów w największych próg naturalny wynosi 6–7 proc., w najmniejszych może przekraczać 10. Jeśli okręgi zmniejszymy o połowę, próg ten mniej więcej o połowę wzrośnie. Co oznacza, że dążymy mniej więcej wprost do systemu dwupartyjnego: partie z poparciem rzędu 5 czy 10 proc. nie miałyby szans na mandaty. Taka polaryzacja jest po myśli zarówno PiS, jak i Platformy, ale PiS, mający większość w sejmie, może dodatkowo poprawić swoją pozycję poprzez zabieg nazywany z amerykańska gerrymanderingiem: czyli taką manipulację granicami okręgów, żeby więcej mandatów przypadało na te pisowskie.

W symulacji wykonanej przez OKO.press w 2020 r. pojawiło się proste założenie: tam, gdzie PiS jest silniejsze, umieści się okręgi 5-mandatowe, a tam gdzie przeważa opozycja – 4-mandatowe. I już. W mniejszych okręgach kilka procent przewagi nie daje opozycji dodatkowego mandatu – podział jest 2:2. W większych, gdzie PiS zdobywa niewielką nawet przewagę, zdobywa też piąty mandat. Genialne w swojej prostocie rozwiązanie, które praktycznie wyeliminuje możliwość zwycięstwa antypisu.

W interesie dużych

Atoli – jakkolwiek dziwnie by to brzmiało – na przeszkodzie prezesowi stanął prezydent. Andrzej Duda zawetował podobnie pomyślaną zmianę ordynacji do europarlamentu w roku 2018, podkreślając, że podniesienie efektywnego progu do 15–16 proc. **„w zbyt daleko idący sposób odbiega od zasady proporcjonalności”**. Sygnały dobiegające z pałacu świadczyły o tym, że także i tym razem nowelizacja mogłaby napotkać na weto. Co więcej, PiS raczej nie mogłoby liczyć na głosy Solidarnej Polski – przy stu okręgach traciłaby ona jakąkolwiek szansę na samodzielne funkcjonowanie w razie rozpadu Zjednoczonej Prawicy. Z opozycji za takim rozwiązaniem teoretycznie mogłaby głosować Platforma, w której interesie leży pogłębianie dwupartyjnej polaryzacji – ale byłaby to decyzja politycznie samobójcza: oto PO wraz z PiS-em głosuje za niedemokratyczną ordynacją, przedkładając swój interes polityczny nad demokrację i poszanowanie woli wyborców. Krótko mówiąc,

rewolucja w ordynacji uległa poronieniu, zanim płód wykształcił podstawowe funkcje życiowe.

Ale przecież trudno było tak całkiem z niej zrezygnować. Jarosław Kaczyński od lat straszy swoich wyznawców nieuczciwymi zamiarami opozycji, która zechce ukraść władzę prawdziwym wybrańcom suwerena. **„Musimy wprowadzić zmiany w ordynacji wyborczej, tak żeby było trudniej dokonywać jakichś manipulacji czy fałszerstw”** – obiecywał na spotkaniach prezes. I dodawał: **„Chcemy, żeby Polska płynęła w czystej wodzie, i my mamy szansę, żeby tę polską wodę oczyścić z tego wszystkiego, co jest złe, odrażające i obrzydliwe”**. To ostatnie odnosiło się wprawdzie głównie do gejów, ale przekaz był jasny: jeśli czegoś nie zrobimy z wyborami, to nam ukradną Polskę.

Po takim występie musiał coś zrobić. A że nie mógł zrobić tego, co chciał, zrobił to, co mógł.

By urny trafiły pod strzechy

Gwoli ścisłości: nie mam nic przeciwko kluczowej zmianie w ordynacji, jaką jest zwiększenie liczby obwodowych komisji wyborczych. To rzeczywiście jest rozwiązanie, które sprzyja frekwencji – choć w praktyce może sprzyjać także i PiS-owi. Nowy przepis stanowi, że obwód głosowania powinien obejmować minimum 200 mieszkańców, a nie, jak dotychczas, minimum 500. Robi to różnicę mieszkańcom mniejszych, biedniejszych wsi – i prawda, takie wsie częściej głosują na PiS – ale pomysł, żeby w związku z tym utrudniać im udział w wyborach (przez konieczność wędrówki do urny do sąsiedniej miejscowości), nie jest szczególnie zgodny z duchem demokracji przedstawicielskiej. Niech opozycja – a szczególnie PSL – skataloguje takie miejsca i skoncentruje na nich swoją kampanię, zamiast liczyć na to, że mieszkańcom nie będzie się chciało pójść zagłosować. Zgoda, kilka tysięcy dodatkowych komisji obwodowych oznacza więcej ludzi do pracy i większe wydatki, ale nie szafowałabym argumentem, że na demokrację na wsi szkoda kasy.

Drugi element zmiany ordynacji, wokół którego opozycja zrobiła sporo krzyku, to przepis zezwalający na agitację bez zgody pełnomocnika wyborczego. To pozwoli – wieści opozycja – na masowe nieformalne finansowanie kampanii wyborczej przez prywatne osoby. Problem w tym, że taki przepis istnieje także w obecnej ordynacji. Zmiana miała charakter stricte redakcyjny, jeden paragraf rozdzielono na dwa – i jakoś nie widać tłumów gotowych z własnej kieszeni wywalać kasę na billboardy i ulotki.

W sumie – po szumnych zapowiedziach ordynacyjnej rewolucji – Kaczyński przeprowadził zmiany zgoła kosmetyczne i w żaden sposób niezagrażające uczciwości wyborów.

Podejrzewam, że nie o to mu chodziło.

AWŁ

Młodość nad poziomy nie wylata

W wielu krajach pozwala się 16-latkom głosować w wyborach. W Polsce wolimy do urn wozić wyborców w wieku 60 plus.

90 lat temu młodzi ludzie byli pracowici, mądrzy, zaangażowani politycznie i szybko stawali ekonomicznie na nogi. 50 lat temu młodzi ludzie też byli pracowici, mądrzy, zaangażowani politycznie i oczywiście szybko szli na swoje. Dziś jest dramat.

Osoby poniżej 35. roku życia to leniwi kretyni, dający się manipulować mediom i specom od marketingu, politykę mają w dupie i pasożytują na rodzicach. Naprawdę?

Robić im się nie chce

Nie chce im się też wchodzić w związki. To dlatego eksponuje się fakt, że w Polsce samotnie mieszka 5,2 procent młodych kobiet i 7,3 procent młodych mężczyzn. Podkreśla się, że odsetek ten wciąż rośnie. Tymczasem liczba młodych polskich singli na tle Europy to nic niepokojącego. W Unii Europejskich młodych singielek jest średnio 2 razy więcej, a singli niemal 3 razy więcej niż u nas.

Lenistwo młodych Polaków ma się przejawiać według komentatorów badań socjologicznych w tym, że prawie połowa z nich nie lubi swojej pracy. O miłości starszych do roboty nikt nie pisze. Bo wyszłoby, że w grupie starszych Polaków niechęć do codziennej orki w robocie odczuwa rzeczywiście nieco mniej osób, ale mniej o tyle, ile wynosi błąd statystyczny.

Zarzuca się młodym ludziom, że połowa z nich niecierpliwie wyczekuje końca dnia pracy. Jeśli chodzi o pracowników starszych wiekiem, to do domu chciałoby iść jak najszybciej tylko 40 procent. Rozumny socjolog zadałby im pytanie: dlaczego? Wyszłoby, że starszy pracownik woli posiedzieć w robocie zamiast użerać się w domu ze współmałżonkiem i dziećmi. Najwidoczniej młodsi mają po pracy lepsze perspektywy spędzenia wieczoru.

Młodzi ludzie to materialiści, grzmią media. Dlatego, że dla 57 procent z nich najważniejsze w pracy są zarobki. A jeszcze kilka lat temu liczyły się takie wartości jak możliwość zdobycia doświadczenia zawodowego czy przyjazna atmosfera w miejscu pracy. Czy to, że młodzi ludzie przestali wierzyć w brednie korporacyjne, jest złe? I czy przypadkiem z badania tego nie wynika, że są coraz mądrzejsi?

Rys. TOMASZ WIATER

Pieniądze mają za nic

Wyniki innego badania media sprzedają pod tytułami, że młodzi ludzie są rozrzutni i zamiast oszczędzać wydają hajs na przyjemności. To dlatego, że 30 procent młodych respondentów sondaży identyfikuje się ze stwierdzeniem, że pieniądze się ich **„nie trzymają”** i **„szybko się rozchodzą”**, a 22 procent młodych Polaków wydaje więcej na przyjemności niż na spełnienie podstawowych potrzeb. Nikt nie zauważył, że utracjuszy jest w młodej populacji jednak mniej. Dlaczego nikt nie zestawił ich długów z długami emerytów? Wyszłoby, że ci to dopiero żyją ponad stan…

Ta wydająca hajs część młodych ludzi robi to, bo nie musi się martwić o pieniądze. Wcale jednak nie z powodu własnej niefrasobliwości. Tatuś z mamusią ich tak wychowali i wychowują nadal.

Mimo bardzo niskiego bezrobocia odsetek młodych mieszkających z rodzicami należy w Polsce do najwyższych w Unii. Z przynajmniej jednym rodzicem mieszka trzech na czterech ludzi w wieku od 18 do 29 lat. Mimo niewielkiej poprawy w porównaniu z rokiem 2015 sytuacja jest gorsza niż kilkanaście lat wcześniej. Pal licho jednak tych mających mniej niż 25 lat, bo jeszcze od biedy mają prawo mieszkać z rodzicami. Jednak spośród osób między 25. a 34. rokiem życia u rodziców mieszka ponad 45 procent Polaków i Polek. W Unii średnia wynosi 28,6 proc. Może jednak wcale nie świadczy to tak źle o młodych ludziach, jak mogłoby się wydawać? Mieszkanie w kupie jest tańsze. Poza tym po co płacić haracz kredytu hipotecznego czy żyłować się na wynajem, jeśli nie trzeba?

Zero odpowiedzialności

Równie racjonalne wydaje się podejście ludzi w wieku 18–24 lata do rozmnażania się. Osób z tej grupy, które w ogóle nie chcą mieć dzieci, jest 21 procent. Pewnie dlatego, że mieszkanie z rodzicami oprócz plusów ma minusy. I właśnie tych drugich młodzi ludzie chcieliby w przyszłości oszczędzić swojej niepoczętej progeniturze.

Wbrew obiegowym opiniom młodzi ludzie myślą. Świadczy o tym fakt, że w grupie wiekowej 18–24 lata odsetek osób deklarujących wiarę religijną spadł z 93 procent w 1992 r. do 71 procent w 2021 r.

Socjologia wychwala Polaków liczących ponad 55 wiosen za odporność na fake newsy. Naukowcy wywodzą to stąd, że peerelowska propaganda zaszczepiła ich przeciwko dawaniu wiary kitowi. Grupie tej przeciwstawia się osoby z przedziału wiekowego 18–34 lata, wychowane na ogłupiających mediach społecznościowych. Socjologowie podpierają się tym, że w stwierdzenie, iż pandemia COVID-19 została wcześniej zaplanowana, wierzy 42 procent najmłodszych i tylko 19 procent osób ponad 55-letnich. Nikt nie wpadł na to, że wraz z wiekiem nabywa się czegoś takiego jak doświadczenie, czyli mądrość życiowa. Dlaczego jednak, zamiast ubolewać nad młodymi idiotami, nikt nie przyczepi się do starszych debili? Młodzi mają jeszcze czas, by zmądrzeć. Starsi kretynami umrą.

Jacyś tacy popierdoleni

Umrą z dużo lepszym samopoczuciem od młodych. Badaczom wyszło, że wartość wskaźnika samopoczucia dojrzałych mężczyzn wynosi 2,81, a dojrzałych kobiet 2,68. Tyle samo mają ludzie do 24. roku życia, którzy się nie uczą i nie studiują. Jeśli jednak podlegają wpływowi resortu ministra Czarnka, to psychika im siada. Uczniowie i studenci mają bowiem współczynnik samopoczucia psychicznego na niższym poziomie, wynoszącym 2,53.

Co drugi uczeń i student często i bardzo często jest zdenerwowany lub rozdrażniony. 44 procent z nich czuje się bezradnych. 30 procent jest wściekłych. Dwie trzecie głęboko odbierają fakt lekceważenia ich przez władzę. Uczniowie i studenci częściej niż wszystkie inne analizowane grupy czują się zniechęceni lub znużeni – 70 procent z nich wielokrotnie.

Nieszczęśliwych jest 46 procent, a

co dwunasty uczeń lub student pomyślał o samobójstwie.

Gdyby jednak poskrobać w badaniach tej grupy sprzed lat, a nie tylko koncentrować się na obecnych, to można dojść do wniosku, że emocjonalność młodych ludzi była taka sama: chwiejna. Wyniki obecnych badań to żadne odkrycie…

TADEUSZ JASIŃSKI

eprasa.pl 5ca15fe926

Kamień z serca

Zła wiadomość dla kilerów: żeby nie trafić do pudła, zgoda żony na pozbawienie jej życia nie wystarczy.

„Położyłem swoją głowę na kamieniu. Drugi kamień uniosłem na wysokość odpowiadającą długości mojego ramienia. Kilka razy go z tej wysokości spuściłem na głowę, aż straciłem przytomność”.

Jeśli myślicie, że wyborca PiS przejrzał na oczy i chciał w ten sposób wybić sobie z głowy głosowanie na ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego, to błądzicie.

Bez retuszu

Kazimierz K. zakochał się w Iwonie, gdy tylko ją ujrzał. Iwona pokochała Kazimierza od pierwszego wejrzenia. Ergo: z tej wielkiej miłości stanęli na ślubnym kobiercu. 3 lata później Iwona urodziła syna. Miłość wciąż była wielka, ale już stawała się trudna, albowiem okazało się, że rola Kazimierza w stadle małżeńskim sprowadza się do bycia popychadłem, a wraz z upływem czasu libido malało i swój upadek widział bez retuszu.

Co tu kryć, Iwona była dominą decydującą o tym, czy pieniądze wydają na uregulowanie należności za prąd, czy też na wyposażenie jej w nowe paznokcie, i najczęściej zamiast dobra wspólnego wybierającą przyjemność partykularną. To od niej zależało także to, kiedy małżonek wyrzuca śmieci, jaki ogląda serial i czy film kończy się dobrze, czy fatalnie, a tak jaskrawe nierówności rzadko wiodą do szczęśliwych finałów.

Kwadrat w ogniu

Prawdopodobieństwo happy endu spadło, gdy Iwona zachorowała na depresję. Podstawową komórkę społeczną dopadł kryzys głęboki jak zbiorowa mogiła, bo Kazimierz musiał znosić nie tylko jedynowładztwo żony, ale także jej płacze, bezsenność i chwiejność emocjonalną wyrażoną stanami euforii i następującymi po niej gwałtownymi obniżkami nastroju. Od czasu do czasu stan ślubnej na tyle się pogarszał, że konieczna była hospitalizacja. A to niepełna lista nieszczęść: popadli w długi wobec banków i osób prywatnych, wierzyciele zaś stracili cierpliwość i działań windykacyjnych nie ograniczali do wysyłania monitów. Mieszkanie dwukrotnie stawało w płomieniach, a przebywanie w płonących lokalach nie wpływa dodatnio na pożycie małżeńskie i samopoczucie.

K. postanowili popełnić samobójstwo i samobójcze zamiary ogłosili w trzech listach: do syna, sąsiadów i policji: **„Przepraszamy, ale nasze życie nie ma sensu, nie mamy wyjścia, musimy się zabić, nie szukajcie winnych”**, pod spodem podpisy obu małżonków. 4 miesiące później pożegnalne epistoły znaleziono przy zwłokach Iwony K.

Idę się zabić

Nieboszczkę znalazła policja zaalarmowana przez matkę Kazimierza, która powiadomiła komendę, bo dostała od syna krótką wiadomość tekstową: **„Iwona nie zyje ja tez ide sie zabic, pozdrawiam”.**

Martwa Iwona K. leżała na wersalce w koszuli nocnej. Była troskliwie opatulona kołdrą. Na stoliku poza listami pożegnalnymi leżały leki psychotropowe. Nie stwierdzono śladów walki. Do kompletu brakowało ciała Kazimierza. Zarządzono poszukiwania, spodziewając się, iż samobója strzelił w plenerze.

Nie trwały długo: wnet okazało się, że Kazimierz K. przebywa w szpitalu i choć ma pewne obrażenia, to zdecydowanie nie jest nieboszczykiem. A nawet jest w stanie umożliwiającym przesłuchanie.

Opcja na uduszenie

Kazimierz od razu i z ochotą przyznał się, że zabił żonę. **„Uzgodniliśmy, że wspólnie popełnimy samobójstwo i taką wolę wyraziliśmy w listach. Ale Iwona nie chciała się truć ani wieszać… No i stanęło na tym, że ja ją zabiję, a potem skończę ze sobą. Spieraliśmy się, czy mam ją udusić gołymi rękami, kablem czy może ogłuszyć młotkiem i wpakować głowę do piekarnika albo walnąć siekierą w potylicę. Wybraliśmy pierwszą opcję. Zaszedłem Iwonę od tyłu, przydusiłem przedramieniem, najpierw straciła przytomność, a potem była już martwa. Zrobiłem to na jej prośbę, bo ona cierpiała i nie chciała żyć. Zgodnie z umową po uduszeniu żony chciałem się zabić. Poszedłem na teren ogródków działkowych, tam znalazłem 2 duże kamienie. Na jednym położyłem głowę. Drugi spuszczałem na głowę z wysokości równej długości ramienia. Straciłem przytomność. Jak się ocknąłem, bolała mnie głowa, więc dowlokłem się do szpitala. Niestety, przeżyłem, bo kamień był zbyt lekki”** – wyznał policjantom.

Kamienowanie to wraz z rozszarpaniem najstarsza kara śmierci, ale rozwalenie głowy kamieniem jako metoda samobójstwa zasadniczo nie jest stosowane. Wersja Kazimierza wzbudziła nieufność śledczych.

Prokuratura wystąpiła z wnioskiem o areszt tymczasowy. Sąd areszt przyklepał.

Marne szanse

Gra szła o stawkę wielką jak życie, bo za ukatrupienie człowieka grozi dożywocie. Kazimierz prezentował się jednakowoż jako kiler eutanatyczny, czyli nie zwyczajny zabójca, lecz zbawiciel, który aby zakończyć cierpienia ukochanej żony, udusił ją, a potem usiłował zabić siebie, lecz wskutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności – zbyt lekki kamień – założonego celu nie osiągnął.

Zabójstwo eutanatyczne jest przez kodeks karny traktowane wyjątkowo –

za zabicie człowieka na jego żądanie i pod wpływem odczuwanego względem niego współczucia grozi od 3 miesięcy do 5 lat pudła, a w wyjątkowych sytuacjach sąd może zastosować nadzwyczajne złagodzenie kary lub nawet odstąpić od jej wymierzenia.

W latach 2004–2020 z tytułu przepisu przewidującego łagodne obejście się ze sprawcami takich czynów wszczęto 56 postępowań, ale tylko w dwóch przypadkach sądy orzekły, że rzeczywiście doszło do zabójstwa na żądanie i w wyniku współczucia.

Statystyka działała na niekorzyść Kazimierza K., bo jego szanse wyniosły raptem 4 proc., o czym zapewne nie miał bladego pojęcia.

Zaborcza połowica

W trakcie procesu okazało się, że nie ma dowodów, iż Kazimierz chciał się ukamienować: w okolicach ogródków działkowych nie znaleziono kamieni odpowiadających podanemu przez niego opisowi ani jakichkolwiek śladów świadczących o podjęciu próby samounicestwienia, a biegli wykluczyli, by **„obrażenia głowy oskarżonego powstały w mechanizmie przez niego opisanym”**. Wyszło też na jaw, że krótko przed dokonaniem zabójstwa kupił polisę zapewniającą mu 500 tys. zł w razie śmierci małżonki, co świadczy o tym, że raczej nie był nadmiernie przywiązany do myśli, że dokona na siebie zamachu i niebawem wyląduje w mogile.

To nie ostatni kwiatek. Kilka miesięcy przed zgonem Iwona przebywała w szpitalu. Kazimierz w tym czasie wyraźnie odżył, był spokojny i zadowolony z życia; skarżył się znajomym, że **„już z Iwoną nie wytrzymuje psychicznie, jest zmęczony tym związkiem i chce się od niego uwolnić”.**

Sąd uznał, że zabił żonę na jej życzenie, które wyraziła w listach pożegnalnych (analiza grafologiczna wykazała, że ponad wszelką wątpliwość to ona podpisała epistoły), ale jednocześnie doszedł do wniosku, iż wykorzysta okazję do uwolnienia się od zaborczej połowicy.

Pełen obraz

„Niewątpliwie była ona osobą dominującą. To ona decydowała o wszystkich dotyczących ich małżeństwa sprawach, a mąż podporządkowywał się. Podporządkował się też jej, gdy zdecydowała zakończyć życie, które to zachowanie jednakże nie ma nic wspólnego ze współczuciem. Gdy sprawca kieruje się współczuciem dla ofiary i zmierza do skrócenia jej cierpień, to wybiera najbardziej humanitarny sposób pozbawienia życia, eliminujący ból, cierpienia czy też stres. Pozbawienie życia przez uduszenie nie jest tego rodzaju działaniem” – czytamy w uzasadnieniu.

Wyrok: 10 lat pozbawienia wolności.

Odwołał się oskarżyciel, domagając się dla Kazimierza K. 25-lecia, oraz oskarżony, wnosząc o uznanie, że dusił z pobudek humanitarnych, zasługuje więc na ulgowe podejście.

Sąd Apelacyjny w Białymstoku wywody obu uznał za bezzasadne.

MACIEJ MIKOŁAJCZYK

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

WIEŚCI GMINNE i INNE

W Zdunach w województwie pomorskim, jak doniósł „Dziennik Bałtycki”, doszło do tragedii. Myśliwy strzelił do psa spacerującego w zagajniku. Pies żyje, ale jednak! Była to pierwsza tego typu tragedia, która różni się od innych tego typu tragedii tym, że strzelający nie udawał, iż pomylił psa z dzikiem. Myśliwy powołał się na art. 33a ust. 3 ustawy o ochronie zwierząt, który zezwala na strzelanie do psów wolno biegających w lesie. Błąd strzelającego polegał tym razem na tym, że rzeczony przepis został usunięty z ustawy w 2011 r. O tym 72-latek wychowany na starych pryncypiach mógł jednak nie wiedzieć.

68 ratowników Grupy Beskidzkiej GOPR, działając zgodnie z zasadą „szukajcie, a znajdziecie”, przeczesywało rejon Krawcowego Wierchu i Hali Miziowej, poszukując zaginionej kobiety. Nikogo nie znaleźli – bo znaleźć nie mogli. Żadnej zaginionej kobiety w rzeczonym rejonie nie było. Niewiasta zgłaszająca swoje zaginięcie sama się sobie odnalazła w domu. Zapomniała odwołać akcję poszukiwawczą.

Rzeszowska policja przypomina, aby pamiętać, żeby pod żadnym pozorem, niezależnie od okoliczności, nie przekazywać pieniędzy nieznajomym. A to dlatego, że 62-letnia rzeszowianka przekazała 139 tys. zł nieznajomemu podającemu się za jej syna. Inna 87-latka 80 tys. zł komuś podającemu się za jej córkę, a jeszcze inna 80-latka 12 tys. zł. W gruncie rzeczy nikt by nie ucierpiał, gdyż chcącemu nie dzieje się krzywda. Darowizny stały się nieszczęściem dopiero wówczas, kiedy starsze panie poinformowano, iż dzieci nie były ich dziećmi. Prawda niestety w oczy kole, dlatego z biegiem czasu zaczynam obstawać przy nieco przyjemniejszych półprawdach.

35-letni mężczyzna zderzył się ze znakiem drogowym samochodem, który ukradł kobiecie, przepuszczającej go wcześniej na przejściu dla pieszych. Złodziej, wykorzystując moment podwyższonej uwagi kierującej, wtargnął do pojazdu. Następnie odgryzł jej ucho. Wykopał z fotela kierowcy. Sprawy działy się w Poznaniu. Tylko spokojnie! Sprawcą był obywatel jednego z państw sąsiadujących ze wschodnią granicą naszego kraju.

Policja w Inowrocławiu zawiadomiła miejscową straż miejską, ponieważ sama została poinformowana, iż mieszkańca bloku przy ul. Kleeberga atakują tarantule. Specjalny oddział straży miejskiej, dla którego walka z tarantulami to chleb powszedni, uzbrojony we wszystko, co ratuje życie w podobnych przypadkach, udał się na miejsce. Okazało się, że tarantula jest jedna. Ale z plastiku. Zaatakowany przepraszał za nieporozumienie. Utrzymywał, że cierpi na pająkofobię (arachnofobia), która odbiera mu rozum na sam widok cienia pająka. A tutaj był nie tylko płaski cień, ale obiekt trójwymiarowy. Miał prawo oszaleć kompletnie.

Trzeba uważać, jadąc drogą krajową nr 15 w Wielkopolsce. Na odcinku od Gniezna do Wrześni. Szczególna ostrożność zalecana jest w okolicy Żydowa. Z jednego z gospodarstw uciekło tam 30 byków. Nie wszystkie zostały pojmane. Sprawa ma swoje drugie dno, którego tajemnicy niestety nie udało się nam wyjaśnić. Jak 30 sztuk bydła może uciec niezauważenie w jednej chwili i komu potrzebne jest takie stado, składające się z samych byków?

Że byki są niebezpieczne, przekonał się 61-letni gospodarz z Trzebuchowa (również w województwie wielkopolskim), który nie wiadomo dlaczego został przez jednego wzięty na rogi i poważnie okaleczony. Znaleziono go leżącego martwym bykiem. Nie żył. Wykrwawił się na śmierć. Motywy działania byka bada prokuratura. Są one o tyle niejasne, że byki zasadniczo nie jadają ludzi. Wyklucza się udział osób trzecich. A co z osobami pierwszymi i drugimi? – zastanawia nas jak zwykle w takich przypadkach.

Miasto Gdańsk oraz Uniwersytet Gdański rozpoczęły projekt mający na celu produkcję literatów. Magistrat da forsę, a uniwersytet powoła nowy kierunek studiów w zakresie powieści graficznej (znaczy komiksu), literaturopisarstwa, pisania tekstów reklamowych, narracji baz danych, scenopisarstwa i literatury regionalnej. Inicjatywa ta ma wprowadzić Gdańsk do sieci Miast Kreatywnych UNESCO jako Miasto Literatury. To się po prostu nie uda, ponieważ to już się raz nie udało. Pomysł kształcenia literatów na uczelniach zrodził

eprasa.pl 5ca15fe926

Sołtys z głową żubra

Robin Hood też był kłusownikiem.

„Dla nas, mieszkańców, dla całego Pomorza i Polski to olbrzymi szok. Mieszkańcy Warcimina twierdzą, że żubra zabił ktoś, kto miał chrapkę na trofeum” – tak o zastrzeleniu żubra Remik opowiadał mediom 3,5 roku temu. **„Albo zrobił to myśliwy, albo kłusownik, który miał dostęp do broni. Podejrzewam, że mógł to być ktoś miejscowy, ale nie można rzucać bezpodstawnych oskarżeń. Z pewnością nie była to pomyłka. Tego zwierzęcia nie da się pomylić z innym”.** Teraz Remik nie gada z nikim oprócz adwokata piszącego dlań apelację.

Oswojona dziczyzna

Żubr wbrew pozorom nie był kretynem. Nauczył się podchodzić do ludzi i wyłudzać żarcie. To prostsze niż wpieprzanie traw, mchów i porostów. Wiele miesięcy szwendał się wśród ludzi, zaglądając nawet na plaże.

Remik też nie wyglądał na idiotę. Nie mając dwudziestu lat, został sołtysem Warcimina. Miejscowi wróżyli mu karierę Obajtka. Wiedział, jak się sprzedawać. **„Każdą wolną chwilę staram się spędzać na łonie natury, ponieważ jestem miłośnikiem myślistwa i w myślistwie udzielam się w różnych akcjach przeciwko kłusownikom. Pasją tą interesuję się od dziecka i każde wyjście do lasu sprawia mi wiele przyjemności, tak samo jak praca z dziećmi”** – napisał na stronie internetowej jednej ze słupskich szkół.

Wszelako Remik nie był myśliwym. W polowaniach uczestniczył w roli naganiacza. Zamiłowanie do internetu i strzelania do zwierząt zeszły się jednak w sołtysie w jedno.

Sklep internetowy reklamowany przez Lasy Polskie sprzedawał dziczyznę. Kilo gulaszu z sarny kosztowało tam 62 zł. Kark z jelenia – 55 zł za kilogram. Łopatka bez kości z sarny stała po 79 zł za kilo, a karkówka z dzika po 55 zł. Remik nie wpadł na to, że podane ceny są detaliczne. Nie pokapował, że mięso ma papiery świadczące o legalnym pochodzeniu. Facet skalkulował tylko to, ile waży dzik czy jeleń i pomnożył to przez ceny mięsa. Wyszło mu dużo.

Policzył, że oferowana na OLX strzelba zwróci się już po jednym polowaniu. Zamówił. Naboje załatwił ojciec kumpla – myśliwy.

Darz bór

Do spotkania Remika z żubrem doszło 17 listopada 2019 r. o czwartej nad ranem. Żubr dostał dwie kule i nie przeżył. Sołtys natomiast zgłupiał.

Żubrze truchło ważyło prawie tonę. O tym Remik nie pomyślał. Nie miał samochodu z wciągarką. Nie miał zaprzyjaźnionego weterynarza. Nie miał nawet pomysłu na to, co mógłby z taką górą mięsa zrobić.

Zadzwonił do Przemka. Przemek obudził ojca (tego od nabojów), a ten wpadł na pomysł, że znajdzie chętnego na żubrzy łeb. Jako myśliwy też postanowił mieć coś dla siebie. Uciął żubrowi ogon i spakował do reklamówki na pamiątkę.

Odcinanie bagnetem i nożem wielkiej głowy nie było proste. Jeszcze gorzej było, gdy panowie musieli kilkudziesięciokilogramowe trofeum przenieść kilometr do samochodu. A już całkiem źle się zrobiło, gdy pojechali do pani podleśniczej, która kolekcjonowała poroża. Powiedzieli jej, że znaleźli żubra z odciętym łbem i chętnie go opchną za 4,5 tys. zł. Kobieta nie była głupia i zadzwoniła na policję.

Remik z Przemkiem wpadli? Gdzie tam! Policja i media łyknęły bajkę, jak to dwaj miłośnicy przyrody natknęli się w lesie na żubrze zwłoki z odciętą głową.

Gliniarzom nic się nie chciało. Spisali zeznania. Nie zajrzeli do samochodu, w którym musiały być ślady posoki. Nie szukali broni, bo Remik jej oficjalnie nie miał.

Żubrobójca stał się lokalnym bohaterem piętnującym kłusownictwo. Policjanci dopisali kolejnego martwego żubra do długiej listy okolicznych skłusowanych zwierząt. Mundurowi nie wiedzieli wtedy, że to był dopiero początek…

Najsmakowitsze kąski

Apogeum żubrobójstwa miało nadejść w roku 2022. Tylko w województwie zachodniopomorskim odnotowano śmierć 24 żubrów. W skali kraju leśnicy z puli 2 tys. sztuk 2 lata temu dziś nie mogą namierzyć ponoć pięciuset tych ssaków.

Masowe zabijanie innych zwierząt leśnych wzrosło wraz z inflacją. Leśnicy twierdzą, że od dwóch miesięcy znajdują o połowę resztek zwierząt więcej niż zazwyczaj.

Wnyków zaś wyciągają 2 razy tyle, co przed rokiem.

Żubry są pod ścisłą ochroną. Jednak są w Polsce knajpy serwujące dania z mięsa króla puszczy. Zupełnie legalnie. Do restauracyjnych zamrażarek trafia mięso z odstrzałów sanitarnych. Leśnicy czasem muszą bowiem dobić zwierzę kontuzjowane lub chore. Ale nie w stopniu uniemożliwiającym zjedzenie go.

Drugim źródłem żubrzyny w menu jest import. Bo w Rumunii są hodowle żubrów na mięso. Knajpiarzom wystarczy jednak tylko faktura i świadectwo lekarskie. Kupują drogo kilkadziesiąt kilogramów, które dzielą potem i mogą przyrządzać przez rok. Oficjalnie, oczywiście. Nieoficjalnie kupują mięso od kłusowników. Kwity dają na nie alibi. Cena potrawy jest wysoka, ale produkt z lewego źródła jest kilkakroć tańszy.

Dzięki importowi każda knajpa może oferować klientom nawet mięso z renifera albo niedźwiedzia, o łosiu nie wspominając.

Kłusem na wokandę

Przez kilka miesięcy po zabiciu żubra Remik z Przemkiem dowiedzieli się, że nie poluje się po ciemku, tylko z bardzo mocnymi reflektorami oślepiającymi i paraliżującymi zwierzynę. Poznali też restauratora oraz miłego weterynarza, który za zbadanie nielegalnie odstrzelonego zwierzęcia kasował 2 razy tyle, ile za legalnego, czyli 50 zł. Mogli ruszyć na łowy.

Przez prawie rok zabili kilkadziesiąt zwierząt. Polowali na jelenie, sarny, dziki i lisy. Łączną wartość upolowanej przez nich dziczyzny prokurator wycenił na 65 tys. zł.

Prokurator wziął się stąd, że panowie wpadli. Cynk dał anonimowy obywatel. Według miejscowych zaś – pozbywający się konkurencji kłusownik.

Rys. JANUARY

W przesłuchaniu pierwszy pękł Przemek. To od niego wyszła sprawa żubra. Remik bronił się, że pomylił zwierzę z dzikiem, bo żubr leżał, a on strzelał z czterdziestu metrów po ciemku. Biegli go wyśmiali. Amunicją była bowiem breneka. W sercu żubra utkwił jeden taki pocisk wraz z tzw. koszykiem. Koszyk jest plastikowy i po wystrzeleniu naboju po 5–7 metrach odłącza się od kuli, a ta leci dalej. Zdaniem śledczych strzały Remika oddane były z przyłożenia w mostek i okolice serca. Ufny żubr po prostu pozwolił kłusownikowi do siebie podejść.

Policja zatrzymywała kolejnych podejrzanych, a ci śpiewali jak w chórze. Prokurator mógł więc postawić zarzuty ośmiu osobom. Znalazły się w nich paragrafy z nielegalnym odstrzałem zwierząt, handlem bronią myśliwską i tuszą zwierzęcą, do tego doszły przekręty fiskalne, weterynaryjne oraz składanie fałszywych zeznań.

Sam tylko pan Roman, ojciec Przemka, został oskarżony o to, że udostępnił Remikowi amunicję i naboje śrutowe, wiedział też o zabiciu żubra, był na miejscu i widział zwłoki zwierzęcia.

Co wolno wojewodzie...

Po ledwie kilku rozprawach w sądzie rejonowym zapadł wyrok. Remik za zabicie pozostającego pod ochroną gatunkową żubra, kłusownictwo, handel bronią myśliwską i prowadzenie pojazdów bez uprawnień dostał rok i 5 miesięcy bezwzględnej odsiadki. Ma też 2-letni zakaz prowadzenia pojazdów i dziesiątki tysięcy złotych nawiązek. A na dodatek solidarnie z Przemkiem wisi 28,9 tys. zł za żubra na rzecz pokrzywdzonego wojewody pomorskiego.

Przemek za pomoc w odcięciu głowy żubra, kłusownictwo i handel bronią palną dostał rok w zawiasach. Jego tatuś – 7 miesięcy, też w zawiasach, za sprzedaż amunicji. Oberwał jeszcze pan z OLX – jako handlarz bronią, usłyszał karę roku w zawieszeniu. Restaurator załapał się ledwie na 1000 zł grzywny.

Jeśli Remikowi nie uda się zbić wyroku w apelacji, będzie miał czas na myślenie, jak to jest, że za ryzyko wpadki, marznięcie w lesie, sprawianie i patroszenie zarabiał mniej niż gość, któremu sprzedawał mięso. I może dojdzie do wniosku, że pora wrócić do lokalnej polityki. Po kilku latach wyrok się zatrze. A baza do zostania Obajtkiem zostanie.

„Jest dobrym sołtysem, ludzie go wybrali” – mówią mieszkańcy Warcimina. **„Załatwił nam plac zabaw z funduszu sołeckiego. Pewnie gdyby mógł startować, wybralibyśmy go jeszcze raz. Nie oceniamy tego, co zrobił, jeśli chodzi o sprawę z żubrem. Oceniamy jego pracę dla Warcimina”.**

TADEUSZ JASIŃSKI

się ongiś w NRD. W rezultacie wyprodukowano armię bezużytecznych grafomanów i żadnego literata. Wszyscy niemieccy pisarze kojarzeni z Niemcami wschodnimi kształcili się w kajzerowskich lub hitlerowskich Niemczech na fakultetach mających z literaturą niewiele wspólnego.

▮ Jakże ciekawa jest praca inspektora ochrony środowiska – dowiedzieliśmy się z informacji pochodzących z Wrocławia. Otóż firma administrująca byłą kopalnią piasku i żwiru uzyskała zezwolenie na składowanie w wyrobiskach piasku i żwiru. Przyznacie, że trochę bez sensu. Inspektorzy doszli do takiego samego wniosku. Wysłali nad żwirowisko uzbrojonego w kamerę robota, dzięki któremu zobaczono, iż zamiast żwiru i piasku doły zasypywane są śmieciami, przykrywanymi cienką warstwą ziemi. A na to przecież zgody nie było. Teraz właściciele firmy albo uzyskają nieuzyskaną zgodę albo pójdą na 10 lat do pierdla. Ta pierwsza opcja byłaby dla wszystkich lepsza. W końcu te odpady i tak trzeba będzie gdzieś zakopać.

▮ Pewien poznaniak chce nagłośnić sprawę parkowania pod Lidlem. My chcemy mu w tym pomóc. Chodzi o to, że dostał mandat za brak bezpłatnego biletu parkingowego, kiedy stał w kolejce do parkomatu po ów bilet. Dyrekcja Lidla wyjaśniła, że to nie jej sprawa, bo do parkingów wynajęła firmę, która wlepia te mandaty. Parkomaty zostały wprowadzone natomiast po to, aby na parkingach pod Lidlami nie parkowali ci, którzy w sklepach nie kupują. Ponieważ mandaty dostają i jedni, i drudzy, klientów w Lidlach ubywa. A miało być ich więcej dzięki temu, że miało być dla nich więcej miejsc parkingowych. Tym samym zarabia firma od mandatów, a Lidl nie. Jadąc następnym razem do Lidla, zastanówcie się dwa razy.

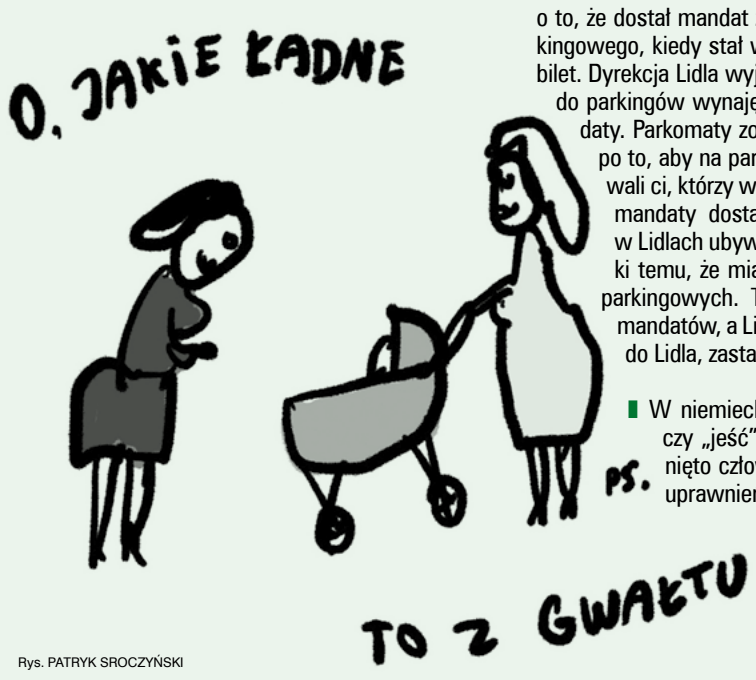

Rys. PATRYK SROCZYŃSKI

▮ W niemieckiej miejscowości Essen (znaczy „jeść”) w tramwaju linii 103 napadnięto człowieka, który bez wymaganych uprawnień używał języka polskiego. A tymczasem miał własny język ojczysty, którym jest niemiecki. Niemiec powiedział po polsku „kurwa mać”, co nie spodobało się dwóm innym pasażerom. Jeden był z Polski, drugi z Rumunii. Za nieautoryzowane użycie „kurwy” Niemiec dostał w mordę. Kiedy upadł, dwie serie kopniaków w rundach po pięć minut. Potem się głupi tłumaczył, że polskiego nauczył się na budowie i nie wie, co ta „kurwa” znaczy. Niemiecka prasa jest bezlitosna. Zwłaszcza „Westdeutsche Allgemeine Zeitung”, która nazwała incydent egzekucją. Bez przesady – verfluchte Scheisse!

▮ Wojewódzka Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna z Olsztyna ważyła uczniom szkół podstawowych plecaki. Zważono je w 38 szkołach. Okazało się, że plecaki są za ciężkie w stosunku do masy ciała uczniów w 11 procentach. To dobrze. Zgodnie z przepisami zbyt ciężkie plecaki może nosić nawet 15 procent uczniów. To niecodzienne badanie świadczy również o tym, że inspektorzy za bardzo się nie przepracowują. Jednak dla pewności wysłalibyśmy do sanepidu Państwową Inspekcję Pracy. Nigdy nic nie wiadomo.

R.J.

Informacje zaczerpnęliśmy z mediów regionalnych. Nie muszą więc być prawdziwe i rzetelne, dlatego mimo redakcyjnej rzetelności nie należy obarczać nas za ich ewentualne wady jakąkolwiek odpowiedzialnością.

eprasa.pl 5ca15fe926

Polacy nie gęsi i swe porno mają

Nasze rodaczki mają wzięcie w branży filmów dla dorosłych.

Z niemałą satysfakcją przyjęłam wiadomość, że polska gwiazda porno powalczy o porno Oscara. Nie żebym była fanką gatunku, ale każdy sukces rodaków na arenie międzynarodowej wnosi odrobinę radości w tym kraju smutnym jak pizda zakonnicy. Występująca pod pseudonimem Cherry Candle 23-latka z Olsztyna została nominowana do AVN (Adult Video News) Awards.

Candle rozpoczęła karierę w przemyśle pornograficznym jako dwudziestolatka. Choć większość gwiazd związała się z branżą w młodszym wieku, Polka zdołała bardzo szybko pozostawić konkurentki w tyle. Z pomocą partnera, pochodzącego z Włoch Dave'a Candle'a, nagrywała pierwsze amatorskie filmy dla dorosłych. Przez 2 lata wspólnie zdobywali popularność w branży. Fikołki krajanki zgromadziły całkiem sporą publiczność, jej nagrania w serwisie Pornhub obejrzało do tej pory 13 milionów ludzi.

Gwiazda porno jest również aktywna w social mediach, prowadzi konta na Instagramie, OnlyFans i TikToku. Z wypiekami na twarzy przeleciałam wzrokiem listę laureatów AVN Awards. Niestety, mimo że kategorii było od chuja z przecinkiem, polska faworytka nie znalazła się wśród zwycięzców, a szkoda.

Okazuje się jednak, że to niejedyna rodaczka, której nazwisko jest znane w branży. Kilka z nich osiągnęło spektakularne sukcesy. Zasięgnęłam opinii u kolegów: polski rynek filmów porno jest rachityczny. Paradoksem jest to, że jednocześnie ShowUp, jedyna platforma streamingowa w kraju (niewtajemniczonym wyjaśniam, że można tam oglądać figle na żywo), jest czwarta w rankingu popularności na świecie. Można więc powiedzieć, że dziewczyny wzięły sprawy w swoje ręce. Choć nie mamy w Polsce tak wielu gwiazd jak Czechy czy Rosja, to nie mamy powodu, żeby wstydzić się na tle Europy. Wiele polskich aktorek robi dziś karierę nie tylko w kraju, ale na świecie dzięki globalizacji rynku porno.

Większość polskich aktorek porno tworzy treści po angielsku. Dzięki temu dziewczyny nie tylko docierają do większej liczby klientów, którzy są skłonni zapłacić za udostępniane treści, ale i zmniejszają szansę na to, że polscy Janusze będą je nagabywać podczas zakupów w Biedrze. Jeśli Wasza znajomość angielskiego oscyluje na podobnym poziomie jak u prezydenta Andrzeja Dudy, to nie ma się co zrażać, wszak nie o sztukę konwersacji tu idzie.

Bogini Gypsy Queen

Pracuje z domu, w dowolnych godzinach, bez szefa nad głową i goniących terminów, a przy tym zarabia naprawdę duże pieniądze. Bogini Gypsy Queen to najpopularniejsza polska seks-streamerka, czyli osoba, która spełnia erotyczne życzenia widzów online. Polka o romskich korzeniach pracę „na kamerkach" zaczęła w wieku osiemnastu lat, a od kilku lat jest aktorką filmów dla dorosłych. Decyzję o pracy jako camgirl podjęła spontanicznie. Od początków kariery Bogini Gypsy Queen towarzyszył jej mąż. Wspólnie organizowane streamy dość szybko przyniosły parze popularność.

Pani Oliwia, bo tak na imię artystce, w filmach występuje tylko z mężem; słodkie, prawda?

Popularność Bogini Gypsy Queen wzrasta z dnia na dzień. Aktorka ma 109 tysięcy obserwujących na Instagramie, 17 tys. subskrybcji na kanale YouTube, 124 tysiące obserwujących i ponad 641 tys. polubień na TikToku oraz wielu fanów na platformach Pornhub i OnlyFans. Jest powód do dumy? Jest!

Siostry Starr

Największymi polskimi gwiazdami porno są niewątpliwe dwie przebojowe siostry Katarzyna i Magdalena Tyszkówny o pseudonimach Natalia i Natasha Starr, które od początku pracowały u wiodących producentów w branży, takich jak Evil Angel, Mile High, Devil's Film, FM Concepts, Girlfriends Films, Brazzers, Reality Kings czy Naughty America.

Miały kilka lat, gdy razem z rodzicami przeprowadziły się z rodzinnej Ostrowi Mazowieckiej do Nowego Jorku. Natalia w 2012 r. zdobyła nawet tytuł Miss Polonia Manhattan. W 2013 r. siostry Starr zdobyły tytuł ulubienicy miesiąca miesięcznika „Penthouse" – Natalia w lipcu, a Natasha w sierpniu. Natalia występowała dla Kink.com (firma produkująca internetowe porno) w scenach BDSM, rimmingu, cunnilingusu, peggingu (jeśli nic wam nie mówią te terminy, wyszukajcie sobie w internecie – porno potraficie, to i to znajdziecie) i fetyszu stóp. Natasha przodowała w scenach sadomasochistycznych takich jak uległość, głębokie gardło, rimming, fisting analny i pochwowy, gang bang i bukkake. Dziewczyny są tak popularne, że można o nich poczytać w Wikipedii.

Ich sukcesy wywołują mieszane uczucia w Ostrowi Mazowieckiej. **„Z pokorą przyjmujemy tę wiadomość, ale nie jest to osoba, której kariera mogłaby być przykładem dla mieszkańców"** – stwierdził przed laty w „Super Expressie" burmistrz Władysław Krzyżanowski, zapytany o Natalię. Co za smutas!

Teen Kasia

Urodzona w 1990 r. w Sokółce Teen Kasia to też polska aktorka pornograficzna. W 2008 r., po ukończeniu liceum, wyemigrowała wraz z chłopakiem do Stanów Zjednoczonych, gdzie podjęła pracę w modelingu. Niedługo później zaczęła grać w filmach erotycznych. Magazyn „CKM" nazwał Teen Kasię **„najbardziej znaną polską pornoaktorką ostatnich lat"**, a serwis pornograficzny XVideos sklasyfikował ją na ósmej pozycji na liście najpopularniejszych polskich aktorek pornograficznych wszech czasów. Coś musiało być na rzeczy, skoro raper Quebonafide poświęcił aktorce utwór. **„Ciebie wychowały »Psy« z Lindą i »King Kong«/ Mnie wychowała Teen Kasia and blue dildo"** – nawijał.

Utwór nie przypadł do gustu gwieździe filmów dla dorosłych i pozwała rapera o wykorzystanie wizerunku bez jej zgody. Sąd oddalił powództwo aktorki, co w pewnym sensie nie dziwi. Wszak kawałek był apoteozą, a wizerunek Teen Kasi wykorzystywano i wykorzystuje się wszędzie tam, gdzie internet dociera pod strzechy, choć może niekoniecznie w projektach muzycznych.

Wyczyny niektórych Polek wywołują kontrowersje. Np. 24-latka o pseudonimach Babsi i Analbabsi występowała w amatorskich filmach porno, które potajemnie nagrywano w… wiejskim kościółku w Hörsching, niedaleko austriackiego Linzu. Policja namierzyła kobietę, gdy fragmenty obrazoburczych nagrań pokazała lokalna telewizja. Jeden z widzów rozpoznał gwiazdę po piersiach. Polka usłyszała zarzuty obrazy uczuć religijnych i profanacji kościoła.

Teresa Orlowski wiedziała, co robi, przecierając szlak w branży porno. **„Wiem, co chcą zobaczyć mężczyźni, i ja ich nie rozczaruję"** – mawiała. Serce rośnie, gdy się widzi, że jej spuścizna trafiła w dobre… ręce.

IDALIA DUBICKA

Rys. TOMASZ WIATER

Duży palec u nogi

Co odróżnia Japonię ery Edo od Polski ery dobrej zmiany? Japonia była mniej pruderyjna i zacofana.

W połowie stycznia portal Gazeta.pl zamieścił reportaż Łukasza Muniowskiego „Praca jak każda inna". Autor zebrał historię kilku prostytutek. Takich, które chwalą sobie swoje życie.

Tekst zaczyna się wyznaniem jednej z nich: „Nikt mi nie wierzył, że miałam takiego klienta, który przynosił mi kanistry z benzyną – mówi Ola. – Pracował w spółce skarbu państwa, miał przydział na paliwo. Kiedy dostawał więcej, niż potrzebował, tankował mi samochód pod blokiem". Ha. Dopowiedzmy. Jest jedna spółka skarbu państwa związana z paliwami. To PKN Orlen.

Dalej bohaterka wyznaje: „Za poranny 15-minutowy seks i cały dzień w Energylandii dostałam 6 tys. zł. Zrywał dla mnie czereśnie… Pierścionek mi przyniósł…". Ktoś, kto może zapłacić lasce 6 tys. zł za jedno spotkanie, to jednak musi być ktoś z kadry menedżerskiej. I chyba tej wyższej, lepiej uposażonej. A przecież sugerowanie, że ktokolwiek z kadry menedżerskiej Orlenu mógłby chadzać na – przepraszam za wyrażenie – kurwy, jest niedopuszczalne. Bohaterka reportażu mówi, że w dzień może zarobić tyle, ile przez miesiąc w banku, gdzie wcześniej pracowała. To, że nie musi płacić podatków, bardzo jej odpowiada: „Ja naprawdę współczuję tym biednym przedsiębiorcom, którzy oddają połowę zarobków złodziejskiemu państwu".

Zoja, inna bohaterka reportażu, dokonuje nawet pewnego rodzaju diagnozy socjologicznej współczesnych Polaków: „Seksualność kobiet zawsze była traktowana w naszym kraju bardziej surowo niż seksualność mężczyzn, ale ogólnie też seksualność zawsze była tabuizowana. To trochę wynika z naszej katolickiej kultury. W Kościele nieustannie mówiono nam, że seksualność jest zła, nie mieliśmy też dobrej edukacji seksualnej". Zoja by wolała, żeby praca seksualna była legalna. Mówi o składkach emerytalnych i ubezpieczeniu zdrowotnym, ale też o prawach pracowniczych.

Na Twitterze autor reportażu dostał w dupę od prawicowych kolegów. „Fajny artykuł o prostytutkach – przepraszam, sex workerkach – w Wyborczej. Właściwie praca marzeń, kasa i przyjemności. Żadnych ciemnych stron. Ciekawe, ile młodych dziewczyn da się nabrać na ten lukrowany obrazek. Rozumiem, droga redakcjo, że minusów nie udało się znaleźć" – ironizowała Kataryna, jedna z bardziej znanych prawicowych publicystek, przez kilka lat w tygodniku „Do Rzeczy". Ironizowała tylko przez chwilę, bo zaraz uderzyła w dzwon grozy: „To jest nachalna reklama nie tylko prostytucji, ale konkretnych prostytutek. Ten tekst jest straszny". „To, co zrobiliście, jest hańbą. Pokazujesz młodym dziewczynom: He, może to jest ciekawa droga. Spoko to nawet wygląda. Jako ojciec nastolatków mówię Ci: To jest dno" – oburzał się kojarzony z prawicą dziennikarz Michał Majewski.

Nad publikacją pochylił się portal Niezależna.pl Tomasza Sakiewicza („Portal Agory zachwala prostytucję") i TVP Info („Portal Agory promuje prostytucję").

• • •

W japońskiej erze Edo powstał termin *ukiyo* oznaczający **„płynięcie świata"**. Co oznaczało płynięcie? **„Żyć chwilą, oddawać się przyjemnościom księżyca, śniegu, kwiatom wiśni i klonowych liści. Śpiewać pieśni, pić sake, pieścić się nawzajem i dawać się unieść nurtowi. Nie dbać o pieniądze, nigdy się nie smucić".**

Na początku XVII w. z inicjatywy Shōgu Jinnaia powstała w Edo pierwsza prowizoryczna dzielnica uciech – *yūkaku* – skupiająca prostytutki. Nałożono na nią odpowiednie nakazy i zakazy, a także obowiązkową weryfikację zarówno mieszkańców, jak i przybywających gości: żaden dom dla prostytutek nie powinien działać poza dzielnicą rozrywek; kurtyzany nie powinny opuszczać dzielnicy i świadczyć usług poza nią, bez względu na status społeczny czy finansowy klienta; żaden klient lupanaru nie może przebywać w nim dłużej niż dobę. Kurtyzany przede wszystkim miały zakaz noszenia bogatych ubiorów zdobionych złotymi lub srebrnymi haftami. Jednak mało kto się tym przejmował. Kurtyzany pojawiały się w całym mieście, nie tylko w wyznaczonej dzielnicy, a już najmniej przejmowały się zakazem noszenia bogatych strojów.

Podobnie jak całe społeczeństwo japońskie, tak i kobiety oferujące usługi i cielesność dzieliły się na rangi. Wśród nich można wyróżnić najwyższej klasy kurtyzany nazywane *tayū* lub *oiran*. Przysługiwały im własne apartamenty z posłaniem składającym się z trzech czerwonych materaców (mniejsza liczba materaców świadczyła o niższej

eprasa.pl 5ca15fe926

Różne oblicza pracy seksualnej.

Z dupy strony

Rys. TOMASZ WIATER

Przebojem wdarł się na ekrany laptopów i smart TV nowy serial Netfliksa „Brokat", w którym błyszczy Magdalena Popławska. To opowieść o PRL-u drugiej połowy lat 70. XX w. i silnych kobietach, które dostrzegły szansę i wzięły sprawy w swoje ręce, obsługując seksualnie klientów dewizowych. Nie jest to może pozycja wybitna artystycznie, ale bez nadęcia ideologicznego pokazuje szczyt dekady gierkowskiej w Sopocie, kiedy to – jak głosiła propaganda – Polska rosła w siłę, a ludziom żyło się dostatniej. Czyli było wtedy, jeśli wierzyć TVP, dokładnie tak, jak to się dzieje obecnie.

„Brokat" to dobry wstęp do tego, aby przyjrzeć się bliżej pracy seksualnej.

Małżeństwo: zalegalizowana prostytucja

Karol Marks w „Świętej rodzinie" wyżej od małżeństwa burżuazyjnego stawia francuską gryzetkę (czyli pracownicę domu mody, traktowaną mniej czy bardziej słusznie niczym dziwka) Rigolette z powieści Eugène'a Sue „Tajemnice Paryża". Lekceważyła owa bohaterka instytucję mieszczańskiego małżeństwa, a zdaniem Marksa **„właśnie w tym ludzkim stosunku tworzy ona prawdziwy kontrast w zestawieniu ze świętoszkowatą, pozbawioną serca i samolubną małżonką burżua, w zestawieniu z całą burżuazyjną sferą".**

Jak zauważa Marek Fritzhand w „Myśli etycznej młodego Marksa", niemiecki myśliciel krytykował rodzinę mieszczańską, przeniknięta **„duchem własności prywatnej, który ruguje z niej miłość i stosunkom między małżonkami nadaje cechy komercjalne".**

Marks podkreślał, że nie wolno kobiety traktować jako zdobyczy i niewolnicy. Nie miał nic przeciwko seksowi, lecz oczekiwał pewnej sublimacji, uczłowieczenia, uduchowienia i nienaruszania praw żadnej osoby.

Engels, skądinąd w życiu osobistym ognisty ogier, za swe wolnościowe poglądy jest znienawidzony przez konserwatystów. Jego „Pochodzenie rodziny, własności prywatnej i państwa" to klasyka radykalnego feminizmu. O patriarchalnej rodzinie w starożytnej Grecji czytamy tam: **„Obecność młodych pięknych niewolnic, które należały do mężczyzny wraz ze wszystkim, co posiadały, nadawała właśnie monogamii od samego jej początku specyficzny charakter, monogamii tylko dla kobiety, a nie dla mężczyzny. I ten charakter zachowała ona po dziś dzień".**

Engels upierał się, że monogamia i małżeństwa zbiorowe (w skrajnej formie – prostytucja) współistnieją. Dawna swoboda seksualna została zarezerwowana wyłącznie dla mężczyzn: w teorii się ją potępia, ale bardzo – nomen omen – namiętnie praktykuje: **„Potępienie to zresztą w rzeczywistości nie dotyczy bynajmniej zainteresowanych mężczyzn, lecz wyłącznie kobiet. Kobiety te są pogardzane i rugowane ze społeczeństwa, aby w ten sposób jeszcze raz proklamować jako podstawową zasadę społeczeństwa bezwzględne panowanie mężczyzn nad rodem kobiecym".**

Mieszczańskie małżeństwo, traktowane jako biznes, to – powtórzmy za Engelsem – **„najordynarniejsza prostytucja"**, różniąca się od zawodowej tylko tym, że kobieta sprzedaje się nie wielu, lecz jednemu mężczyźnie. I tu pojawia się soczysty cytat z socjalisty utopijnego Fouriera: **„Jak w gramatyce dwa przeczenia dają potwierdzenie, tak samo w moralności małżeńskiej dwie prostytucje uchodzą za jedną cnotę".**

Ludzki wymiar kurewstwa

Od wieków przypisywano dziwkom (oczywiście, także mężczyźni się prostytuują, ale to temat na inną opowieść) różne motywacje. Często widziano w nich nienasycone demony seksu, obwiniano o rozbijanie rodzin, gardzono nimi jako tymi, które samą swą obecnością ukazują brutalną i zakłamaną twarz patriarchatu. Wielu mężczyzn wymuszało darmowe usługi seksualne na podległych sobie kobietach – patrz prawo pierwszej nocy, gwałty panów na chłopkach czy fabrykantów na robotnicach. Stąd też praca na pełny etat w sektorze usług seksualnych – rzecz jasna, świadczonych dla bardziej zamożnych klientów – mogła stać się wybawieniem i narzędziem emancypacji.

Właśnie dziwki były forpocztą pozytywnych przemian nowoczesnego świata.

Od czasów renesansu próbowano zamknąć kobiety w domu, w Anglii i Ameryce przypisując im role żon, matek, opiekunek. Tymczasem w przedrewolucyjnej Francji kobiety przedstawiano jako gwałtowne i seksualnie nieokiełznane. Powtórzmy za Pniną Werbner, która pisze w tekście „Upolitycznione macierzyństwo i feminizacja obywatelstwa: ruchy kobiece i transformacja sfery publicznej": **„Aktywność przynajmniej części kobiet nie ograniczała się już tylko do przestrzeni domowej, ale była na tyle znacząca, że dla Wernera Sombarta jedną z zasadniczych cech wyznaczających kierunek postrenesansowej Europy był wzrost konsumpcji związany z zeświecczeniem kobiet"**, a **„zmianę tę zapoczątkowały dworskie kurtyzany".**

Katarzyna Szumlewicz w książce „Miłość i ekonomika w literackich biografiach kobiet" zauważa, że niewiele bohaterek dziewiętnastowiecznych powieści dysponuje własnym majątkiem lub wystarczającym dochodem. Jedynie Nana, bohaterka powieści Emila Zoli, korzysta z niego do woli. Co prowadzi Szumlewicz do na pozór zaskakującego wniosku: kurtyzany z powieści sprzed dwóch wieków wychodzą **„na swoim zajęciu o wiele lepiej, niż gdyby poszły na służbę lub do fabryki".**

Dziwki za komuny

W PRL-u oficjalnie prostytucji nie było – nielegalne było sutenerstwo, ale nie sama sprzedaż swego ciała – to jednak prostytutki były obecne w kulturze, która jest zawsze odbiciem tego, co się dzieje w społeczeństwie.

Stanisław Staszewski opiewał życie pracownic seksualnych w słodko-gorzkich „Kurwach wędrowniczkach":

„Podłemu życiu plujmy w pysk.
Miłości czystej, niespodzianej sławny błysk,
Bo któż zabijałby i kradł,
Gdy starczy uśmiech, wdzięk i szyk, i trochę szmat".

Warto też przypomnieć piosenkę kabaretu Tey z początku lat 80., a mianowicie „Dziwex". To opowieść m.in. o 20-letniej Zośce, w której **„domu była wielka bieda"**. Dziewczyna przeczytała, że **„dla chleba może sprzedać swą urodę"**. Śpiewany przez Rudiego Schubertha kawałek sugeruje dobrowolność prostytuowania się: **„Kraj zasobny był w dziewczyny chętne do podjęcia pracy"**. Dzięki seksbiznesowi zaś **„spełnić mogą swe marzenia młode polskie pokolenia"**. Oczywiście, także dla alfonsa jest to **„interes złoty"**, tak więc trwa w najlepsze **„girls Polish export from PRL".**

Ciekawe, że „Dziwex" antycypuje w jakimś sensie pojawienie się w Polsce prostytutek z sąsiednich państw: **„Przecież są ościenne kraje, a w nich bieda".**

Znamienne, że w serialu „07 zgłoś się" pojawiają się dziwki, które milicyjny as, Sławomir Borewicz, traktuje z szacunkiem. Nie są to bezbronne ofiary handlu ludźmi, lecz silne kobiety, sprzedające usługi seksualne, co pozwala im – mówiąc po marksowsku – na akumulację kapitału, umożliwiającą wybicie się na niezależność.

Pamiętajmy, o czym mówi się na początku „Brokatu": za Gierka dziewczyna mogła dostać za numerek więcej, niż wynosiła przeciętna płaca w PRL-u.

Po prostu zawód?

Poprawni politycznie idioci z lewej strony sceny politycznej twierdzą, że praca seksualna to praca jak każda inna. To oczywista bzdura. Historia prostytucji to dzieje męskiego okrucieństwa. Cokolwiek powiedzieć o paniach z ZUS-u czy Biedronki, ich przełożeni nie każą im – co zdarza się w usługach erotycznych notorycznie od lat, także w Polsce – tatuować sobie na ciele napisu **„suka"** czy **„własność"** wraz z imieniem czy ksywą alfonsa.

No i

gdyby prostytucja była zawodem jak każdy, zalegalizowanym i traktowanym na równi z innymi, to w urzędach pracy powinny pojawić się oferty pracy w burdelach, których odrzucenie skutkowałoby odebraniem zasiłku czy skreśleniem z listy bezrobotnych...

Jakkolwiek wszystko powyższe jest szczerą prawdą, to jednak dla wielu kobiet sprzedawanie własnego ciała to coś wyzwalającego, emancypacyjnego. Przywołajmy dowód w postaci historii spisanej przez Kamila Fejfera „Zawód. Opowieści o pracy w Polsce". To historia Anki, która odnalazła swoją drogę życiową jako seksworkerka.

Anka ma w dupie opinię społeczeństwa, bo to społeczeństwo nic dla niej nie zrobiło. Wkurwiało ją, że gdy miała zwykłą pracę, to wszyscy robili jej łaskę, że płacą kasę za wykonaną robotę: **„Nie jest tak, że ty dajesz swoją pracę pracodawcy, a on się odwzajemnia pieniędzmi. Nie, on robi ci łaskę – ja cię zatrudnię, bo przecież robota, którą ci daję, to coś, co zawsze chciałeś robić, sprzątanie, kurwa, kibli to twoje hobby".**

Dawanie dupy za pieniądze, jeśli dzięki temu można nieźle zarobić, daje niezależność i komfort życiowy. Anka podkreśla, że **„branża, w której robię, jest pierwszą z tych, co pracowałam, i być może jedną z niewielu w ogóle, gdzie klienci są dla ciebie bardzo mili".** Są też nader wdzięczni za wykonane usługi, nawet jak są mało profesjonalne, to nigdy nie mają problemu, żeby czasem zapłacić więcej.

Zakończmy odpowiedzią kobiety na pytanie Fejfera, czy nigdy nie żałowała ona swojej decyzji: **„Ani przez chwilkę, przez sekundę. Dopiero jak zaczęłam pracować w zawodzie, przestałam się czuć w Polsce jak szmata".**

ZUZANNA JURCZYŃSKA
zuzanna.jurczynska.69@gmail.com

pozycji kurtyzany), w których mogły przyjmować swoich gości. *Tayū* służyły *kamuro* – dwie około 10-letnie dziewczynki towarzyszące im w czasie wyjść na przyjęcia. Kurtyzany najwyższej rangi ubierały się w bogate wielowarstwowe kimona z charakterystycznym pasem wiązanym z przodu. W kunsztowne i skomplikowane lakierowane fryzury miały wpiętą masę ozdób. Im bogatszy strój oraz bogatsza fryzura i dodatki, tym wyższa ranga kurtyzany. Twarze malowały na biało, oczy i brwi podkreślały czernią; usta malowały na czerwono. Uwydatniały kark, który uchodził za podniecający. Za niezwykle erotyczny fragment ciała uznawano również wydatny duży palec u stopy. Dodatkowo kurtyzany najwyższej rangi nosiły specjalne buty na wysokim koturnie, które wymagały specjalnego sposobu chodzenia zwanego *hachimonji*, uznawanego za bardzo erotyczny. Co ciekawe, nawet w zimie nie nosiły skarpetek – naga skóra stóp również miała znaczenie erotyczne (był to jeden z niewielu fragmentów nagiej skóry widoczny spod pełnego stroju kurtyzany).

Oprócz doskonałych umiejętności w sztuce miłosnej wysokiej klasy kurtyzany były biegle wykształcone; kurtyzana powinna **„być kobietą wrażliwą, delikatną, wykształconą, umieć pięknie pisać listy miłosne, mieć wspaniały gust, elegancko i modnie się ubierać, odpowiednio poruszać i zachowywać, ładnie wysławiać i pachnieć wonnościami z drzewa aloesowego. Podczas spotkania z klientem nie wolno jej było poruszać tematów związanych z pieniędzmi, prowadzeniem firmy, okazywać chciwości i małostkowości ani też dużo jeść i pić".**

Prostytucja – w ogóle seks – w feudalnej Japonii nie była niczym nagannym moralnie. Była czymś normalnym. Ciekawa jest jedna z przyczyn tego stanu rzeczy. Otóż była nią polityka izolacjonizmu – *sakoku* – prowadzona od początków XVII do połowy XIX w.

Jednym z powodów polityki *sakoku* było wpierdalanie się katolickich misjonarzy w życie społeczne, gospodarcze i kulturalne Japończyków.

• • •

10 lutego w Warszawie w Domu Artysty Plastyka przy Mazowieckiej 11 zostanie otwarta wystawa „Miłość samurajów". Wystawa prezentuje kolekcję oryginalnych prac największych japońskich mistrzów drzeworytu *shunga*. *Shunga* to **„wiosenne obrazy"**, odważne i wysmakowane erotyki tworzone w epoce Edo. Drzeworyty pochodzą z kolekcji prywatnych. Organizatorom wystawy – zanim znalazła ona miejsce w Domu Artysty Plastyka – w kilku miejscach odmówiono wynajęcia sali mimo początkowego entuzjazmu. Powód? Na japońskich drzeworytach widoczne są tzw. narządy. I nie chodzi bynajmniej o nerki czy wątrobę.

WALDEMAR KUCHANNY
wkuchanny@redakcja.nie.com.pl

Korzystałem z katalogu autorstwa dr Gabrieli Matusiak „Miłość samurajów, czyli historia japońskich wizerunków erotycznych", Warszawa 2023.

eprasa.pl 5ca15fe926

ETYKA BEZBOŻNA

Wycieranie gąb sumieniem

Ogarnęła mnie wściekłość, gdy usłyszałem o czternastoletniej niepełnosprawnej intelektualnie dziewczynce z Podlasia, którą najpierw zgwałcił facet z rodziny, a potem lekarze odmówili przeprowadzenia aborcji, powołując się na tzw. klauzulę sumienia. To przepis, który umożliwia lekarzowi odmowę wykonania jakiegoś zabiegu ze względu na konflikt z jego głębokimi przekonaniami moralnymi. Jeśli do takiej nadzwyczajnej sytuacji dojdzie, lekarz musi pacjentowi wskazać inną możliwość otrzymania świadczenia medycznego, skoro tylko pacjent ma do niego prawo. Nie może więc powiedzieć: „Nie chcę mieć z tym nic wspólnego, proszę wyjść z mojego gabinetu" – sprzeciw sumienia to jest jego osobisty problem, którym nie wolno mu obarczać pacjenta, ograniczając jego prawa.

Klauzula sumienia jest instytucją prawną znaną w świecie i sama w sobie ma wiele zalet. Lekarz wykonujący jakąś operację wbrew sobie i pod przymusem nie zrobi tego dobrze. Poza tym przymuszanie lekarza do czegokolwiek nie licuje z godnością tego zawodu. Rzecz w tym, aby przepis był dobrze rozumiany i funkcjonował w ramach wysokiej kultury prawnej i etycznej środowiska medycznego. Jeśli rozumiany jest po prostu jako uprawnienie lekarza do niewykonywania wybranych obowiązków (na zasadzie: wystarczy powiedzieć, że to niezgodne z moim sumieniem, i nikt już nic nie może mi zrobić), a morale środowiska jest niskie, to zamiast działać tak, jak go pomyślano, czyli na zasadzie wyjątkowego odstępstwa od normalnego trybu postępowania, staje się narzędziem daleko idących nadużyć i niesprawiedliwości.

Bo klauzula sumienia to prawo honorowe i niepodobna sprawdzić, czy dana osoba powołuje się na nią uczciwie i rzetelnie, czy tylko udaje, podczas gdy chodzi jej po prostu o to, żeby uniknąć kłopotów. Gdy wokół ginekologów narasta oblężenie agresywnych fundamentalistów w sutannach i garniturach, a każdy, kto przeprowadzi zgodnie z prawem procedurę tzw. terminacji ciąży, musi się liczyć z napaściami słownymi i prześladowaniami, to wtedy cóż łatwiejszego pod słońcem niż skłamać, że ma się konflikt sumienia? Nikt nikogo za takie kłamstwo nie ukaże, bo nawet nie ma sposobu, aby je udowodnić.

W warunkach ideologicznej presji i nękania lekarzy nadużywanie przepisu zwanego klauzulą sumienia staje się zjawiskiem masowym. I to do tego stopnia, że nawet gdyby znalazł się ginekolog odmawiający usunięcia ciąży z gwałtu, bo naprawdę wierzy w nadprzyrodzoną istotę, która tchnęła w zarodek nowiutką ludzką duszę, to nie mielibyśmy żadnej szansy wyłowić go pośród setek innych lekarzy, którzy po prostu dali się zastraszyć i łżą o konflikcie sumienia, aby uniknąć kłopotów z jakimś tam Ordo Iuris.

Klauzula sumienia to prawo skrojone dla zupełnie innego rodzaju ludzi niż ci, którzy z niego niby to korzystają, a tak naprawdę brutalnie i kłamliwie go nadużywają.

Czemu się tak dzieje? Oczywiście decyduje w pierwszym rzędzie pospolity oportunizm lekarzy, którzy nie chcą mieć kłopotów z władzą i jej ideologicznymi przybudówkami. Nie byłoby to jednakże takie łatwe, gdyby nie etyczna indolencja i niezdolność posługiwania się kategoriami etycznymi.

Lekarzom powołującym się na klauzulę sumienia wydaje się, że każdy człowiek ma moralne prawo postępować zgodnie z własnym sumieniem, a nawet ma taki obowiązek. Inaczej mówiąc, nikt nie może mieć do niego pretensji, gdy postąpił zgodnie z własnym głębokim przekonaniem odnośnie do tego, jakie postępowanie jest dobre, a jakie złe. Żadne normy moralne, żadne społecznie uznawane zasady i wartości nie mają znaczenia, gdy odezwie się „głos sumienia". To oczywisty nonsens i zaprzeczenie wszelkiej moralności! W życiu moralnym o to właśnie chodzi, że nie mogę sobie robić po prostu tego, co chcę i do czego jestem przekonany. Obowiązują mnie zasady, czyli nakazy, zakazy i zalecenia, które nie zależą po prostu ode mnie, lecz są czymś publicznym i autorytatywnym. Nie wtedy czynię dobrze, gdy dobrze się ze swoim postępowaniem czuję i własne samopoczucie („czyste sumienie") mam na celu, a również i nie wtedy, gdy moje subiektywne kryteria dobra i zła zostały spełnione, lecz wtedy, gdy stosuję się do obowiązujących norm i zasad, gdy realizuję swoje zobowiązania, gdy uwzględniam prawa i potrzeby innych ludzi, gdy dbam o to, by nikogo nie skrzywdzić, i w ogóle gdy staram się orientować nie na siebie samego i swój emocjonalny i psychiczny komfort (nie mówiąc już o interesach), lecz na innych ludzi i to, co im się ode mnie należy, nawet kosztem moich strat.

Oczywiście istnieje coś takiego jak wrażliwość moralna, a zwłaszcza zdolność do odczuwania cierpienia z powodu krzywdzenia innych ludzi. Potocznie nazywa się to właśnie sumieniem, jakkolwiek w etyce rozumie się to nieco węziej – jako umiejętność przenoszenia ogólnych reguł postępowania na konkretne życiowe sytuacje, czyli stosowania ich w praktyce. Jak więc doszło do tego amoralnego, nihilistycznego nadużycia, w wyniku którego tak wielu ludzi wyobraża sobie, że wolno im wszystko, byle tylko sami sobie dawali na własne postępowanie przyzwolenie? Otóż ta

fala amoralizmu i moralnego relatywizmu, tak spektakularnie nas zalewająca, generowana jest wytrwale i sumiennie przez pseudomoralistykę Kościoła katolickiego,

wmawiającego wiernym, że moralnie dobre postępowanie to takie, które jest zgodne z sumieniem działającego, będącym jego „wewnętrzną normą moralności". Oczywiście biskupom bynajmniej nie chodzi o to, że jeśli sumienie podpowie komuś aborcję genetycznie uszkodzonego płodu albo apostazję, to nagle te niecne czyny staną się zbożne i godne pochwały. Postępować zgodnie z sumieniem należy wyłącznie wtedy, gdy nakazuje ono postępowanie co do joty zgodne z „nauczaniem" Kościoła. Gdy trochę pocisnąć takiego katolickiego „teologa moralnego", to zaraz okaże się, że owszem, trzeba działać zgodnie z własnym sumieniem, lecz tylko pod warunkiem, że jest ono „dobrze wychowane". Dobrze wychowane przez Kościół, ma się rozumieć.

Po co więc Kościołowi całe to zawracanie głowy z sumieniem? Nie lepiej to było od razu powiedzieć, że dobre postępowanie to takie, które zgadza się z „nauką i wiarą" Kościoła katolickiego? Otóż nie! Bo w doktrynie o prymacie sumienia nad regułami tkwi potencjał buntu przeciwko porządkowi prawnemu świeckiego państwa. Kościół mówi ludziom: nie musicie stosować się do praw sprzecznych z wiarą. Możecie je – tytułem sprzeciwu sumienia – ignorować i bojkotować. Zastosowaniem tej warcholskiej i antypaństwowej zasady butnego Kościoła jest między innymi ten masowy atak na prawo do legalnej aborcji, dokonywany za pośrednictwem kłamliwie i przewrotnie stosowanej klauzuli sumienia. W polskich warunkach społecznych i prawnych w ogóle nie powinno być takiego przepisu. Dopiero gdy nie będziemy już pod stałą presją obcej teokracji i jej ideologii, a ludzie będą rozumieć różnicę między sumieniem a widzimisię, przyjdzie czas, gdy klauzula sumienia będzie mogła powrócić do „obrotu prawnego" jako prawo honorowe, którego nikt nie śmie nadużywać. □

JAN HARTMAN

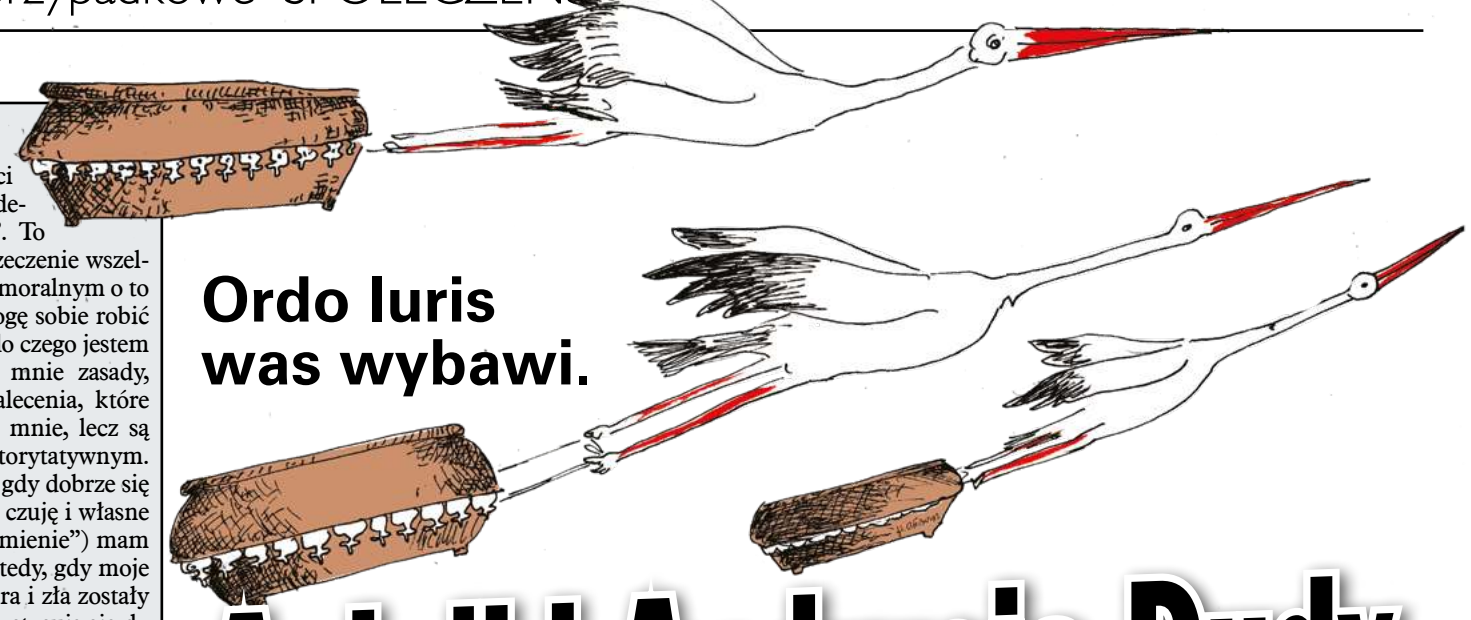

Ordo Iuris was wybawi.

Aniołki Andrzeja Dudy

Mówiła o tym cała Polska. 1 stycznia 2023 r. mama z Wejherowa wezwała pogotowie, choć powinna wezwać zakład pogrzebowy. Kasia została uduszona – stwierdzili ratownicy. Przez najbliższych – oceniła prokuratura.

Warto głośno powiedzieć, że takie pozbywanie się pociechy to w Polsce częste zjawisko.

Monika

Monika spod Piotrkowa Kujawskiego zmarła z wychłodzenia. Przypadek? Skąd. Był mróz, gdy mama wyniosła miesięczną dziewczynkę za płot. O piątej rano ktoś zauważył niemowlę. Trafiło do szpitala w stanie agonalnym. Sekcja dowiodła, że bezpośrednią przyczyną śmierci było wychłodzenie, ale wcześniej dziewczynka była podduszana i bita.

Mama Moniki była trzeźwa. Monika to jej drugie dziecko. Pierwsze zostało odebrane z powodu niewydolności wychowawczej.

Blanka

Blanka z Olecka przeżyła 9 miesięcy. Została wykorzystana seksualnie i zabita. Zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem: połamane żebra, zbite serce, przebite płuco.

Dziewczynka pozostawała pod opieką samorządu i państwa. Rodzice mieszkali osobno, matka ćpała. Mieszała narkotyki z lekami psychotropowymi.

Gdy zostawiła córkę na klatce schodowej w bloku, w którym mieszka partner, sąd umieścił dziecko w rodzinie zastępczej. Niestety kobieta upomniała się o małą.

Powiatowe Centrum Pomocy Rodzinie i Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej głośno powiedzieli: **„Nie. To za duże ryzyko"**. Urzędnicy wycofali sprzeciw, gdy usłyszeli, że po drugiej stronie staną nadzwyczaj skuteczni prawnicy z renomowanej kancelarii, pro bono zajmującej się ochroną polskiej rodziny. **„Jestem czysta, kocham córkę"** – podkreślała zapłakana mama.

Półroczna Blanka wróciła do domu. Na 3 miesiące. Wyniki sekcji nie pozostawiają złudzeń: przez ten czas dziewczynka była maltretowana.

Katarzyna

Sekcja zwłok Kasi z Wejherowa nie pozostawia wątpliwości: dziewczynkę uduszono. Kto? Nie wiadomo. W mieszkaniu oprócz trzeźwej mamy był pijany tata i jego pijany kolega.

Rodzina miała założoną Niebieską Kartę, bo już pół roku wcześniej pracownicy socjalni postawili na nogi sąd. Donieśli, że rodzina jest niewydolna wychowawczo. Pojawiła się przemoc. Niepełnosprawna intelektualnie mama po szkole specjalnej i pracujący za granicą tata nie byli w stanie należycie dbać o małą.

Sąd z Wejherowa wyznaczył kuratora. Jak podkreśla prezes, kurator należycie wywiązywał się z obowiązków.

Zadaniem kuratora jest odwiedzanie rodziny co najmniej raz na 2 miesiące i dokumentowanie na piśmie tego, co zobaczy. Założenie, że to gwarancja bezpieczeństwa dla dziecka i rodziny, jest absurdalne.

Nikodem

Nikodem z Włocławka nie doczekał trzecich urodzin. W ostatnim tygodniu życia przeżył największe piekło. Przyjaciel mamy bił go pięściami, miarką budowlaną, rzucał o ścianę, wyzywał. W końcu oprawca utopił nieprzytomnego malucha w wannie. Jak twierdzi, chciał go tylko wychować.

3 trupki na miesiąc

Liczba trupków produkowanych przez rodziców każe pochylić się nad art. 12a ust. 1 ustawy o przeciwdziałaniu przemocy w rodzinie. Pozwala pracownikowi socjalnemu odebrać dziecko bez wyroku sądu i umieścić je u innej niezamieszkującej wspólnie osoby najbliższej, w rodzinie zastępczej lub w placówce opiekuńczej. Uzasadnieniem jest **„bezpośrednie zagrożenie życia lub zdrowia dziecka w związku z przemocą w rodzinie"**.

Prawo zostało uchwalone za rządów PO–PSL. Do odebrania dziecka w trybie nagłym nie wystarcza widzimisię pani z opieki społecznej. Musi być placet funkcjonariusza policji i przedstawiciela służby zdrowia. Natychmiast, jednak nie później niż w 24 godziny, pracownik socjalny powiadamia sąd. Ten ma dobę na ostateczną decyzję.

Jeśli sąd nakaże oddać gówniarza rodzicom, informuje przełożonych osób, które zdecydowały o zastosowaniu art. 12a. Nie ma listy kar za nietrafione decyzje, ale nie chciałabym być w skórze często błądzącego pracownika. Rządowe wytyczne są dziś wszak jednoznaczne: **„Pamiętajmy, że sam alkohol czy nawet pewne działania przemocowe (…) nie są podstawą, by krzywdzić dziecko przez traumatyczne umieszczanie w pieczy zastępczej"**. Zastosowanie art. 12a jest dopuszczalne jedynie wówczas, gdy **„życie i zdrowie dziecka jest bezpośrednio zagrożone"**. Jak przewidzieć, czy właśnie w najbliższą noc mama udusi córcię? A tata utopi synka?

Samorządy przygotowały bardzo szczegółowe instrukcje zabezpieczające ratowników przed papugami potencjalnych oprawców. Np. Kraków apeluje, aby przed odebraniem dziecka urzędnicy uzyskiwali pisemne zgody od policjanta i lekarza, bo z tych na gębę łatwo się wycofać.

Troje dzieci do uratowania dziennie

W 2015 r. odebrano bez wyroku sądu 1158 małych obywateli. W 2016 – 1214, w 2017 – 1123. Rok później – to ostatnie dane, do których dotarłam – 1130 dzieci. Jak to?

Dobry Jarosław Kaczyński zabiera mamusiom i tatusiom tyle samo dzieci co zły Donald Tusk?!

Instytut Kultury Prawnej Ordo Iuris oraz posłowie PiS chcieliby to zmienić. Przecież odbieranie dzieci przez urzędników bez wyroku sądu, bez możliwości reprezentowania interesów rodziny przez adwokata jest niezgodne z polską konstytucją!

Poglądy Ordo Iuris propagują parafie, np. św. Józefa w Wieluniu. Streszczam: Wystarczy urzędniczy błąd lub niesprawdzony fałszywy donos… Przerażone dzieci są zabierane siłą od bliskich do obcego miejsca… W samych majteczkach wpychane do radiowozu… Jest to skopiowanie najbardziej radykalnych rozwiązań stosowanych przez tak krytykowane urzędy jak norweski Barnevernet czy niemiecki Jugendamt… Zaskoczeni interwencją rodzice nie są w stanie podjąć skutecznej obrony… Rodzice najczęściej zostają sami, bez pomocy, w pustym domu… Ustawa nie przewiduje dla tej kategorii spraw wsparcia prawnika z urzędu… A przecież jeśli rodzinę reprezentowałby prawnik, dzieci już na pierwszym etapie mogą być ocalone… Sądowa weryfikacja jest fikcją…

15 skarg rocznie

Rodzice mają prawo odwołać się od decyzji o odbiorze pociechy. Ostatnio złożono 15 skarg. Co trzecia, czyli 5, została uznana za zasadną. Przypomnijmy: odebrano 1130 dzieci.

Myślicie, że powodem jest brak wiedzy prawniczej? Tatuś i mamusia chcieliby mieć dzieciaka w domu, ale nie wiedzą, że mogą zaprotestować? Nie. Rodzice są informowani o możliwości odwołania w momencie, gdy zapada decyzja o zabraniu pociechy. I to na piśmie. Jeśli chcą, aby dzieciak wrócił, nie muszą fatygować się na pocztę czy do sądu. Za listonosza robi pracownik socjalny uczestniczący w interwencji.

„Może samodzielne sklecenie kilku zdań przekracza możliwości zainteresowanych?" – kombinuje Ordo Iuris. Tak. Aktywność rodziców przy odzyskiwaniu bachora powinna ograniczać się do wpisania swojego nazwiska, imienia dziecka i postawienia parafy. Trzeba zmienić ustawę. Musi być szablon zażalenia.

Co, jeśli rodzice są nachlani i nie kojarzą, że zabiera im się potomstwo? Niech urzędas chodzi do nich z szablonem w nieskończoność, aż oprzytomnieją…

Posłowie PiS z posłanką Anną Sobecką na czele chcą, aby rodzice pozostali właścicielami dzieci, najlepiej więc cały art. 12 wysłać w kosmos.

Projekt nowelizacji ustawy, znacznie ograniczający procedurę odbierania dzieci bez wyroku sądu, czeka w Rządowym Centrum Legislacji.

MARTA KACZOROWSKA

eprasa.pl 5ca15fe926

Macice Ordo Iuris

Fanatycy wyruszają z prolajferską krucjatą w krainę fantastyki i na Ukrainę.

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Nie mam zapędów sadomasochistycznych, a mimo to czasem sprawdzam, co słychać w sekcie Ordo Iuris. I trafiłam na smaczek. Jerzy Kwaśniewski, prezes tego prawniczego nowotworu, poinformował radośnie, że produkcja ludzi w laboratoriach staje się właśnie faktem. Co gorsza, ta przerażająca wizja jak z powieści Aldousa Huxleya już puka do naszych drzwi i zmienia się w prawo za naszą wschodnią (ukraińską, oczywiście) granicą. Prezes Ordo Iuris dostrzega w tym spisek zgniłego Zachodu.

Fabryka dzieci

W 1932 r. ukazała się słynna powieść Aldousa Leonarda Huxleya „Nowy wspaniały świat", będąca dystopią w konwencji science fiction. Kanon fantastyki posłużył w niej Huxleyowi jako narzędzie do konfrontacji idei wolności z porządkiem, pragmatyzmu z fantazją, indywidualizmu z kulturą społeczności masowej. Tytuł dzieła nawiązuje do mowy Mirandy ze sztuki Williama Szekspira „Burza" (akt V, scena I). Akcja toczy się w roku 2540 (632 AF – „po Fordzie" – według datowania przyjętego w książce). Powieść rozpoczyna się od wykładu w Ośrodku Rozrodu i Warunkowania w Londynie Centralnym, będącym swego rodzaju fabryką dzieci, kiedy to grupa londyńskich studentów poznaje drogę, którą przebywa człowiek od zapłodnienia przez embrion do narodzin. Szczególną wagę przykładano do procesu Bokanowskiego, dzięki któremu jedna komórka była zdolna do wytworzenia większej liczby klonów. (**„Dziewięćdziesiąt sześć identycznych osób przy dziewięćdziesięciu sześciu identycznych maszynach!"**) Przeznaczone do różnych czynności i zawodów embriony traktowane są w odmienny sposób – są warunkowane genetycznie i psychicznie do podjęcia konkretnej roli w społeczeństwie, np. embriony przyszłych inżynierów kosmicznych są przetrzymywane głową w dół, a gdy odwrócą się do normalnej pozycji, zmniejsza się im dopływ tlenu; hutnicy są poddawani warunkowaniu termicznemu, a embrionom przyszłych pracowników tropikalnych wstrzykuje się dla zahartowania **„zwykłą dawkę tyfusu i śpiączki"**. Wszystkim tym procesom przyświeca jeden nadrzędny cel: aby ludzie zaakceptowali swe nieuniknione przeznaczenie społeczne.

Sztuczna macica

Struny literackiej nostalgii rozbudził u Kwaśniewskiego jemeński biotechnolog i popularyzator nauki Hashem Al-Ghaili, który przedstawił niedawno projekt pierwszej na świecie sztucznej macicy, tzw. EctoLife.

W 2017 r. naukowcy stworzyli BioBag, który funkcjonował jako sztuczna macica, i wykorzystali go do wyhodowania małego baranka. BioBag'17 był ogromnym przełomem. Naukowcy hodowali 8 płodowych jagniąt przez 105 do 120 dni – mniej więcej tyle samo co ludzkie płody w 22. do 24. tygodnia ciąży.

Następnie w marcu 2021 r. osiągnięto kolejny kamień milowy. Izraelskim naukowcom udało się hodować embriony myszy przez okres do 11 dni w sztucznych macicach. Niezwykłe w tym osiągnięciu jest to, że 11 dni to ponad połowa pełnego okresu ciąży myszy. Teraz ujawniono nową koncepcję pokazującą, jak to samo można zrobić dla ludzi. Al-Ghaili uważa, że EctoLife to kolejny logiczny krok. W ekskluzywnym wywiadzie dla „Science and Stuff" wyjaśniał, że jego zdaniem koncepcja EctoLife może pewnego dnia zastąpić tradycyjny poród. Powiedział, że w ten sposób społeczeństwo będzie w końcu w stanie zaspokoić potrzeby rodziców, którzy są **„zmęczeni czekaniem na odpowiedź agencji adopcyjnej"**, oraz tych, którzy **„martwią się komplikacjami ciąży"**. Ale co najważniejsze, mówi, że EctoLife może pozwolić nam stawić czoło kryzysowi niepłodności.

Zaprojektuj sobie dziecko

To na razie tylko pomysł, dzięki któremu w założeniu mogłoby się rodzić nawet do 30 tysięcy dzieci rocznie i pozwoliłoby to bezpłodnym parom zostać prawdziwymi biologicznymi rodzicami. Tzw. pakiet elitarny pozwalałby na genetyczne modyfikowanie embrionu przed wszczepieniem go do sztucznego łona. A przyszli rodzice mogliby wybrać nie tylko koloru oczu i włosów, wzrost i inteligencję, ale także uniknąć dziedzicznych chorób genetycznych. Al-Ghaili uważa, że technologia jest już dostępna, a koncepcję tę przed urzeczywistnieniem powstrzymują **ograniczenia etyczne. „W tej chwili badania na ludzkich embrionach, które mają więcej niż 14 dni, są zabronione. Jeśli prawo to zostanie złagodzone, za 10–15 lat EctoLife będzie powszechne stosowane"** – podkreślił w jednym z wywiadów.

Armaty za sztuczne dzieci

To, co przeraziło Kwaśniewskiego, zafascynowało Ołeksandra Danucę, ukraińskiego polityka z proprezydenckiej partii Sługa Narodu, i stało się dla niego inspiracją. W ostatnich dniach grudnia w ukraińskim parlamencie złożono projekt ustawy o nazwie „O zmianie kodeksu cywilnego Ukrainy i kodeksu rodzinnego Ukrainy (w zakresie ustalenia pochodzenia dziecka wychowanego w sztucznym środowisku poza organizmem człowieka)". Celem projektu jest dostosowanie ukraińskich przepisów do tego, aby w przyszłości zapewnić pełnię praw dzieciom, które przyszły na świat za pomocą techniki wspomaganego rozrodu metodą ektogenezy. Idąc tym tropem, Danuca stwierdza, że **„posiadanie przez Ukrainę bezwarunkowej reputacji jednego z liderów w dziedzinie leczenia niepłodności może stworzyć właściwe warunki do rozwoju tej technologii na terenie kraju"**.

I żadna to tajemnica, mimo to Kwaśniewski, powołując się na **„anonimowych"** ukraińskich informatorów, sugeruje, że wymogły to państwa zachodnie w zamian za pomoc militarną.

Co więcej, według Kwaśniewskiego część polityków ukraińskich obawia się, że ukraińskim wyborcom przedstawi się projekt jako niezbędny do dalszej integracji Ukrainy z Unią Europejską. Nie wykluczają również, że jeżeli projekt nie zostanie szybko odrzucony, stanie się paliwem dla rosyjskiej propagandy przedstawiającej przewrotnie całą Europę jako upadłą moralnie.

Na haju

Dlatego Ordo Iuris przystępuje do przygotowania analizy, w której wykaże, że żadne regulacje europejskie czy międzynarodowe nie zobowiązują Ukrainy do wprowadzania takich rozwiązań. Jak rzekomo przekonują jego partnerzy, merytoryczny głos doświadczonych w prawie europejskim ekspertów Instytutu Ordo Iuris będzie w parlamentarnej walce o odrzucenie ustawy znaczył więcej niż opinie lobbystów ludzkiej hodowli. Głos Ordo Iuris będzie także dowodem na to, że w Europie wciąż pamięta się o wartości ludzkiej godności.

Wróćmy do Huxleya. Pisarz był propagatorem używania różnych środków psychoaktywnych, a niektóre z nich (meskalina i LSD-25) z zaangażowaniem testował sam. Kiedy umierał, poprosił żonę, by naszprycowała go na odchodne LSD. Nie wiem, jakiego haju wówczas doświadczył, ale mam przekonanie graniczące z pewnością, że do odlotu Al-Ghailiego, Danucy i Kwaśniewskiego było mu daleko. O ile historia wielokrotnie pokazała, że futurystyczne wizje niekoniecznie muszą być mrzonką, o tyle zarówno ustanawianie prawa, jak i budowanie kontrofensywy (nawet przez oszołomstwo pokroju Ordo Iuris) wobec czegoś, co ledwo istnieje w teorii, zdają się zdecydowanie wykraczać poza zdrowy rozsądek.

IDALIA DUBICKA

Wyruchani śmiechem

Ordo Iuris kona na podwójnym łóżku.

Wydawało się, że złowrogi Instytut na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris bardziej niż na początku 2022 r. ośmieszony już być nie może. Wówczas to w tym najbardziej rozpoznawalnym ultrakatolickim i ultrakonserwatywnym think tanku – z wpływami w sferach rządowych – doszło do rozłamu. Wiceprezes instytutu Tymoteusz Zych odszedł z kilkoma osobami, zakładając konkurencyjną organizację. Nieformalny powód: skandal obyczajowy z powodu romansu z jedną z podwładnych. Mało, że podwładną – w dodatku jedną z głównych frontmenek Ordo Iuris. A prywatnie żoną przyjaciela. Zych był świadkiem na ich ślubie. Wcześniej Zych promował w ramach działalności statutowej Ordo Iuris zakaz rozwodów. Była to naprawdę piękna katastrofa wizerunkowa. Wszyscy zastygli w zachwycie.

Minął rok i proszę: znowu się udało – przez Polskę przetoczyła się fala heheszek, memów, żartów i nabijań z Ordo Iuris z powodu poradnika „Wolność sumienia pracowników, przedsiębiorców, lekarzy i naukowców", w którym znalazła się znana jak kraj długi i szeroki porada: **„Hotel może odmówić wynajmowania pokoi z łóżkami dwuosobowymi dla par, które nie są małżeństwami"**. Imię tego, kto pierwszy rzucił memem, trudno ustalić, ale to nieistotne.

Poradź, jaką mam włożyć sukienkę

Sporządzony i opublikowany poradnik Ordo Iuris zawiera wiele porad, nie tylko tę o odmowie wynajmowania pokoju z podwójnym łóżkiem dla pary niebędącej sakramentalnym małżeństwem.

1. Zakład drukarski ma prawo odmówić wykonania usługi, gdy brzmienie dzieła zawiera treści, których nie chce promować.

2. Podobnie księgarnia może odmówić dystrybucji książki zawierającej treści, których nie chce promować.

3. Cukiernia może odmówić wykonania tortu ślubnego dla pary jednopłciowej, jeśli z uwagi na wyznawane wartości sprzeciwia się nadaniu przywilejów małżeńskich jednopłciowym konkubinatom. A zespół muzyczny może odmówić występu na ślubie takiej pary. No i oczywiście restaurator udostępniający sale ślubne może odmówić najmu lokalu parze jednopłciowej chcącej zorganizować w nim swoje wesele.

4. Właściciel hotelu z możliwością najmu sal konferencyjnych może odmówić udostępnienia sali w celu zorganizowania wydarzenia promującego postulaty ruchu politycznego LGBT.

5. Pracownia krawiecka, która specjalizuje się w szyciu sukien ślubnych i alb pierwszokomunijnych, ma prawo nie przyjąć zamówienia na uszycie sukni z emblematami ruchu LGBT, jeśli to zlecenie nie wpisuje się w charakter budowanego przez przedsiębiorcę brandu. Ma to być kwestią dbałości o wizerunek i specjalizację firmy.

W żłobie leży, któż pobieży

Ordo Iuris do tej pory opracował i wydał kilkanaście poradników mniejszych lub większych.

W sprawie organizowania jasełek w szkołach. Wywód Ordo Iuris jest prosty jak konstrukcja cepa: Konstytucja, a za nią prawo oświatowe nakazują wychowanie w poczuciu poszanowania polskiego dziedzictwa kulturowego; elementem dziedzictwa kulturowego są jasełka i kolędy oraz uroczyste obchodzenie Bożego Narodzenia. Wniosek: organizacja jasełek, śpiewanie kolęd i obchody Bożego Narodzenia w przedszkolach i szkołach są nie tylko dopuszczalne, ale wręcz konieczne w świetle polskiego prawa.

W sprawie zorganizowania modlitwy w szkołach. Mówimy tu o publicznych modłach w trakcie lekcji. Tu także sprawa jest prosta: modlitwa w szkole jest **„jednym ze sposobów ekspresji religijnej, uczniowie i rodzice mają prawo inicjować i uczestniczyć"** w takiej szkolnej modlitwie. Jak się komuś nie podoba – niech się nie modli.

W sprawie chronienia dzieci przed „Tęczowym piątkiem" Ordo Iuris zaleca rodzicom zabieranie w ten dzień dzieci ze szkoły, z lekcji: **„Jeżeli dyrektor szkoły zgodził się na realizację akcji »Tęczowy piątek« na terenie szkoły po wyrażeniu pozytywnej opinii przez radę rodziców, masz prawo do zabrania swojego dziecka z zajęć edukacyjnych i usprawiedliwienia jego nieobecności"**.

Ale także dla nauczycieli w sprawie postępowania w zgodzie z własnym sumieniem, bo **„szkoła staje się polem bitwy prowadzonej przez ideologie wrogie człowiekowi"**.

Dla wszystkich zaś poradnik „Jak postępować w przypadku ataków na symbole religijne i miejsca sprawowania kultu"; Ordo Iuris banalnie zachęca, aby powiadamiać policję i straż miejską, ale też… uwaga!: **„W razie próby ucieczki sprawcy, gdy zachodzi obawa jego ukrycia się lub nie można ustalić jego tożsamości, nic nie stoi na przeszkodzie, by świadek przestępstwa dokonał obywatelskiego zatrzymania sprawcy do czasu przybycia policji. Nie ulega wątpliwości, że w celu ujęcia sprawcy nieunikniona jest często potrzeba zastosowania siły fizycznej i tym samym naruszenia nietykalności cielesnej osoby, a nierzadko niezbędne jest obezwładnienie ujmowanego czy jego przytrzymanie"**. To ewidentna zachęta do agresywnych działań dla stworzonej przez Roberta Bąkiewicza tzw. Straży Narodowej.

Generalna myśl, jaka się wyłania z tych wszystkich poradników, nie jest odkrywcza: należy wprowadzać **„wartości chrześcijańskie"**, a rugować każde inne, zwłaszcza te w jakikolwiek sposób skojarzone z szeroko rozumianymi ruchami LGBT. Ale porady, których udziela Ordo Iuris, jawią się wyjątkowo groteskowo. Czyżby strach przed Ordo Iuris miał wielkie oczy, a instytut był wytwórcą banału?

Jacy biedni, nikt ich nie kocha

Odejście z Ordo Iuris Zycha – jak zauważył niedawno portal OKO.press – było o tyle istotne dla instytutu, że jest on członkiem Rady Narodowego Instytutu Wolności powoływanej przez rządowy Komitet do spraw Pożytku Publicznego. A Narodowy Instytut Wolności dzieli kasę dla organizacji pozarządowych. I w tym środowisku oto wpływy Ordo Iuris się urwały.

W połowie 2022 r. prezes Ordo Iuris mecenas Jerzy Kwaśniewski rozesłał do sympatyków Ordo Iuris *newsletter*, w którym informował o problemach finansowych. I prosił o wsparcie.

Na uruchomionej przez Ordo Iuris uczelni Collegium Intermarium na jedynym kierunku, jakim jest prawo na studiach dziennych, w rekrutacji na rok akademicki 2022/2023 wzięło udział 16 osób, ostatecznie przyjęto 4 osoby. Wielki sukces to to nie jest.

Jeszcze jakiś czas temu prezes Kwaśniewski był powoływany do rad doradczych przy rozmaitych ministerstwach. Dzisiaj władza korzysta mniej z jego doradztwa. Pozostaje członkiem rządowego Zespołu Monitorującego Przeciwdziałanie Przemocy w Rodzinie przy Ministerstwie Rodziny i Polityki Społecznej.

Instytut – jak skrupulatnie policzył portal OKO.press – ma ciągle kilku przedstawicieli umocowanych w strukturach państwa (choćby dwóch sędziów z nim związanych zasiada w Sądzie Najwyższym), ale nowych „wejść" Ordo Iuris do instytucji nie ma.

Pod koniec 2022 r. przedstawicielka instytutu została powołana do Komitetu Monitorującego Program Fundusze Europejskie dla Nowoczesnej Gospodarki, który kontroluje wydawanie w Polsce części funduszy unijnych. Kwaśniewski ogłosił na Twitterze: **„Wygraliśmy z radykałami lewicy. Powstrzymamy ideologiczne eksperymenty za euro"**. Jednak przedstawicielce Kwaśniewskiego grozi wykluczenie z komitetu. Kilka dużych organizacji pozarządowych zaalarmowało bowiem komisarza UE ds. pracy i komisarza UE ds. spójności, że Ordo Iuris prowadzi działania przeciwko wartościom UE i Karcie Praw Podstawowych.

Ordo Iuris niedługo będzie mógł się wpisać na listę prześladowań chrześcijan w świecie. I dokończyć tym samym bekę z siebie.

WALDEMAR KUCHANNY
wkuchanny@redakcja.nie.com.pl

eprasa.pl 5ca15fe926

WIARA CZYNI CZUBA

1. Po długim namyśle biskup hiszpańskiej diecezji Orihueli-Alicante José Ignacio Munilla Aguirre postanowił nie bojkotować Światowych Dni Młodzieży, które odbędą się w sierpniu w Lizbonie. Nie była to łatwa decyzja, albowiem na stronie ŚDM znalazło się odwołanie do oenzetowskiej Agendy 2030, opisującej 17 celów zrównoważonego rozwoju; jednym z nich są prawa seksualne i reprodukcyjne: dostęp do antykoncepcji, prawa kobiet i mniejszości seksualnych, kompleksowa edukacja seksualna. Biskup Munilla uważa, że dodane później wyjaśnienie, iż ŚDM popiera Agendę 2030 w sposób zgodny z wytycznymi Stolicy Apostolskiej, „do pewnego stopnia ratuje twarz" Watykanu i papieża, „chociaż nie wyjaśnia do końca", dlaczego odwołanie do oenzetowskiej agendy „nie zostało całkowicie usunięte i kropka".

2. Pastor Heath Lambert z Pierwszego Baptystycznego Kościoła w Jacksonville na Florydzie przygotował dla swojej trzody oświadczenie, które trzeba wypełnić, podpisać i odesłać do 19 marca, żeby nie wylecieć z parafii na zbity ryj. W oświadczeniu wierni zeznają, że podzielają homofobię pasterza: „Wierzę, że małżeństwo jest ustanawiane przez Boga, a nie rząd, między jednym mężczyzną a jedną kobietą, i to jest jedyny dopuszczalny kontekst pożądania seksualnego i jego realizowania". Dla wahających się pastor ma stosowną analogię: pozwalać gejom na gejostwo to jak wpuścić dzieci na basen bez nadzoru: „Jeśli wykopiesz basen na swoim podwórku i powiesz maluchom, żeby się bawiły, a nawet nie postawisz ogrodzenia… Jeśli mówisz tylko o dobrych rzeczach i nie mówisz o niebezpieczeństwach, ludzie giną".

3. Z kolei Mat Staver, szef organizacji Rada Wolności, postuluje, aby dzieci par gejowskich nie były przyjmowane do szkół chrześcijańskich – a gdyby się okazało, że jakieś tam są, trzeba je natychmiast wywalić. Staver zadeklarował gotowość napisania przepisów w tej sprawie, albowiem obcowanie z takimi dziećmi demoralizuje chrześcijańską młodzież, zagrażając jej wpojonej w domu i kościele homofobii. „Wy i ja jesteśmy gotowi na tę wojnę kulturową, ale dzieci do niej nie dorosły. Mogą zostać zdezorientowane i to może mieć wpływ na ich całe życie. Musimy wraz z rodzicami chronić nasze dzieci i zapewnić im funkcjonowanie w odpowiednim biblijnym środowisku wolnym od niewłaściwych wpływów". Posyłanie chrześcijańskich dzieci do jednej szkoły z pedalskim nasieniem to jak „wrzucanie ich do gniazda żmij".

4. W hiszpańskim Algeciras niejaki Yasin Kanza wtargnął z maczetą do kościoła św. Izydora i pokiereszował proboszcza, po czym pogalopował do kościoła Naszej Pani z La Palmy, gdzie na śmierć zarąbał zakrystiana. Sąd uznał to za atak terrorystyczny, co ucieszyło liderów hiszpańskiej prawicy. Szef postfrankistowskiej Partii Ludowej Alberto Núñez Feijóo ogłosił, że „są ludzie, którzy zabijają w imię Boga lub religii", dodając, że „minęło wiele wieków, odkąd robili to katolicy, ale są inni". Lider ultraprawicowego Voxu Santiago Abascal dodał radośnie, że to wszystko wina „nielegalnych imigrantów" i lewicowego rządu, który „otwiera przed nimi granice i obsypuje socjalem", a tymczasem „nie możemy tolerować rozprzestrzeniania się islamizmu na naszej ziemi". Nic tak nie raduje dobrych katolików jak męczennik.

5. Centrum Badań Aplikacyjnych Apostolatu przy Uniwersytecie Georgetown skompilowało listę najbardziej praktykujących krajów katolickich świata. Na podstawie „Światowego studium wartości" – międzynarodowego programu studiów nad religijnością – w centrum porównano dane z 36 krajów, w których papiści stanowią większość lub znaczącą część populacji, sprawdzając to, jaki procent obywateli przyznających się do katolicyzmu chodzi do kościoła co tydzień albo częściej. Są powody do dumy: jesteśmy w czołówce. Do regularnego praktykowania przyznaje się 52 procent polskich katoli. Wyprzedzają nas Nigeria, Kenia, Liban, Filipiny i Kolumbia. Jak to dobrze znaleźć się w towarzystwie dostatnich krajów z wysokim poziomem wykształcenia i bezpieczeństwa socjalnego.

6. 48-letni Mark Houck z Kintnersville w Pensylwanii został uniewinniony od zarzutu napaści na 73-letniego wolontariusza kliniki aborcyjnej Planned Partenthood Bruce'a Love'a. Houcka oskarżono na podstawie ustawy o wolności dostępu do klinik, która uznaje blokowanie takiego dostępu za przestępstwo federalne zagrożone 11 latami więzienia i 350 tys. dolków grzywny – co jest odpowiedzią na coraz częstsze ataki fundamentalistów na pacjentki i personel klinik. Według zeznań poszkodowanego Houck nagabywał pacjentki i dwukrotnie zaatakował Love'a, gdy próbował im powiedzieć, że nie muszą go słuchać; za drugim razem przewrócił staruszka na ziemię. Komentując swoje uniewinnienie, Houck orzekł: „Nie moglibyśmy tego zrobić, gdyby nie wiara", Gdyby nie wiara, nie czatowałbyś na kobiety na rogu ulicy, oszołomie.

Piłsudski, Kaczyński, jeden pies

„Syk gadzin stłumić należy siłą" – powtórzmy za Felicjanem Sławojem Składkowskim.

W czwartek 26 stycznia 2023 r. parlamentarzyści Sejmu RP rutynowo głosowali to, co mieli do przegłosowania.

Głosując w sprawie nowelizacji kodeksu postępowania cywilnego, klepnęli też nowo dodany § 4 w art. 1050. Przewiduje on, że jeżeli w sporze o naruszenie dóbr osobistych osoba zobowiązana do opublikowania przeprosin nie uczyni tego w zasądzonej treści i formie mimo wyznaczonego jej przez sąd terminu publikacji i zagrożenia niewykonania tego wyroku grzywną, to podczas kolejnej rozprawy sąd wymierzy jej grzywnę w wysokości do 15 tys. zł. Nakaże też osobie naruszającej dobra osobiste zamieszczenie ogłoszenia w „Monitorze Sądowym i Gospodarczym" na jej koszt, zawierającego treść nieopublikowanych przeprosin w podobnej do zasądzonej wcześniej formie.

Zamieszczenie w „Monitorze…" takiego ogłoszenia będzie uznane za wykonanie wcześniejszego niewykonanego wyroku nakazującego publikację przeprosin.

W trakcie prac nad nowelizacją pisowska większość wrzuciła też „drobny" przepis przejściowy. Przewiduje on, że jeśli przed wejściem w życie nowych przepisów osoba obrażona nie wyegzekwowała jeszcze pieniędzy zasądzonych jej od obrażającego ją, to obrażający będzie mógł wystąpić do sądu o uchylenie wcześniejszego orzeczenia nakazującego mu zapłatę.

Przegłosowana nowelizacja brzmi enigmatycznie nawet dla absolwentów wydziałów prawa. Zapewne wielu głosujących parlamentarzystów nie miało zielonego pojęcia o tym, że przyciskając rutynowo zielony guzik w sejmowej maszynie do głosowania, nie tylko ocalają pana prezesa Kaczyńskiego przed widmem bezdomności, ale też tworzą HISTORIĘ.

Kaczyński spod mostu

Nie wiedzieli zapewne, że ta nowelizacja pozwoli panu prezesowi Kaczyńskiemu wygrać przegraną już sprawę. Cofnąć czas na swoją korzyść. W roku 2016 pan prezes udzielił wywiadu portalowi Onet.pl. Wywiad poświęcił zaniechaniom, jakich, według niego, dopuścił się rząd PO–PSL w sprawie katastrofy smoleńskiej. Uznał, że Donald Tusk i Radosław Sikorski dopuścili się wtedy **„zdrady dyplomatycznej"**, wchodząc w konszachty z Rosjanami i blokując wyjaśnienie przyczyn katastrofy. Dowody na to czerpał z pamięci.

Ta okazała się płodna, ale w fakty zawodna. Sikorski pozwał Kaczyńskiego za nieprawdziwe i obraźliwe stwierdzenia. W 2020 r. spór prawomocnie w sądach wygrał. Wyrok nakazywał panu prezesowi publikację przeprosin na łamach portalu Onet.pl, ale pieniężnego zadośćuczynienia wtedy nie nakazywał.

Jarosław Kaczyński olał prawomocny wyrok i go nie wykonał. Raz jeszcze pokazał, że stoi ponad polskim prawem. Zlekceważył jednak zawziętość Sikorskiego i kwalifikację jego prawników. Zaskarżyli oni to niewykonanie wyroku do kolejnego sądu. W grudniu 2021 r. sąd nieprawomocnym jeszcze wyrokiem przyznał Sikorskiemu kwotę ponad 708 tys. zł na pokrycie kosztów opublikowania przez Sikorskiego Kaczyńskich przeprosin. To bardzo duża kwota, urosła do tych rozmiarów w efekcie kumulacji kosztów publikacji i przede wszystkim odsetek karnych.

Wtedy pan prezes poskarżył się w „Gazecie Polskiej", że nie ma takiej gotówki. Będzie zmuszony sprzedać swój rodzinny dom, kiedy przyjdzie zająć go zły komornik. Choć i to pewnie nie wystarczy, bo jest właścicielem tylko jednej trzeciej nieruchomości. I będzie musiał przenieść się pod most.

I tak ze sprawcy udowodnionego mu przestępstwa pan prezes stał się męczennikiem nieludzkiego prawa. A w Polsce kocha się męczenników niezwykle.

Potencjalna bezdomność pana prezesa wielce wzburzyła jego politycznych wielbicieli. Wykorzystali nadal posiadaną parlamentarną większość i zmienili obowiązujące prawo na korzyść pana prezesa. Łatwo obliczyć, że przeprosiny w „Monitorze Sądowym i Gospodarczym" pozwolą mu zaoszczędzić sporo pieniędzy. Przeprosiny nie będą tak widoczne jak te w jednym z największych polskich portali.

Patrz, Piłsudski

W III RP popularny i trafny jest pogląd, że PiS w swych działaniach przypomina grupę

ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

rekonstrukcyjną, która chce odtworzyć w naszym państwie rządy przedwojennej sanacji. Marzącej o Wielkiej Polsce, krzewiącej kult wodza i autorytarnych rządów. Porównującej pana prezesa Kaczyńskiego do świętej pamięci Marszałka Piłsudskiego.

Prawdziwy Marszałek Piłsudski zmarł w roku 1935. Pozostawił grono posłusznych wykonawców swej woli politycznej, swych decyzji. Po trzech latach ich rządów widać było, że nie potrafią samodzielnie kierować Polską. Dlatego coraz silniej odwoływali się do jednego z niewielu atutów, jakie posiadali – popularności zmarłego Marszałka i ich Komendanta.

„Dlatego w miarę rosnącego niezadowolenia ograniczanego w politycznych swobodach społeczeństwa, społeczeństwa dławionej opozycji, dźwigającego się dopiero z pokryzysowego szoku, sanatorzy coraz głośniej i częściej jęli podkreślać swe związki ze zmarłym Komendantem" – pisze Mariusz Urbanek w pionierskiej monografii „Polska jest jak obwarzanek".

Szybko wtedy już za samo lekceważenie pamięci Komendanta represjonowano lekceważących. Wytaczano procesy księżom, którzy nie wygłosili kazań żałobnych po **„Jego śmierci"**. Złamano opór kurii krakowskiej i arcybiskupa Adama Sapiehy, który sprzeciwiał się pochówkowi Piłsudskiego w wawelskiej krypcie królów. Wprowadzono monety z wizerunkiem Marszałka w dwóch najwyższych nominałach. Obchodom rocznicy Jego śmierci nadano rangę święta państwowego łączonego z całodziennymi manifestacjami żałobnymi. Brakowało tylko wisienki na tym wazelinowym torcie.

30 stycznia 1938 r. opozycyjny wobec sanacji „Dziennik Wileński" zamieścił krytyczną recenzję książki Melchiora Wańkowicza o budowanym wtedy Centralnym Okręgu Przemysłowym. Jej autor, historyk, docent, wykładowca Uniwersytetu Wileńskiego Stanisław Cywiński wtrącił w recenzji, że Wańkowicz zadał **„kłam słowom pewnego kabotyna, który mawiał o Polsce, że jest jak obwarzanek: tylko to warte, co jest po brzegach, a w środku pustka"**.

Ponieważ Cywiński nie wskazał, kto jest autorem cytowanego bon motu, to recenzja przeszła przez cenzurę. Nie wzbudziła też emocji po publikacji. Dopiero gdy jakiś życzliwy znawca powiedzonek Marszałka Piłsudskiego rozszyfrował zacytowanego przez Cywińskiego autora, rozpętała się wojna polsko-polska.

Ociec, prać?

Najpierw 13 lutego 1938 r. dwutygodnik „Naród i Państwo" opublikował donos na Cywińskiego zatytułowany „Plugastwo słowa". Następnego dnia grupa oficerów Wojska Polskiego wdarła się do mieszkania docenta Cywińskiego i zmasakrowała go na oczach żony i dzieci. Potem oficerowie napadli na redakcję „Dziennika Wileńskiego". Zdemolowali lokal, pobili zastanych tam redaktorów. Dostało się nawet gońcowi redakcyjnemu i dozorczyni kamienicy mieszczącej redakcję. Pobici próbowali potem szukać sprawiedliwości w sądzie, ale prokuratura nie znalazła w napadzie **„cech przestępstwa"**.

Za to patron bijących oficerów, generał Dąb-Biernacki, po kampanii wrześniowej w 1939 r. został skazany przez sąd wojskowy na degradację i 10 lat więzienia za ucieczkę z pola walki.

Prokurator wileńskiego sądu okręgowego wniósł też akt oskarżenia wobec Stanisława Cywińskiego za **„znieważenie narodu polskiego poprzez zelżenie czci marszałka Polski Józefa Piłsudskiego"**. Wsparły go prorządowa prasa oraz organizacje kombatanckie i patriotyczne. Docent Cywiński trafił do aresztu.

Nie próżnował też ówczesny Sejm RP i Senat. Aby dać podstawy prawne represjom wobec Cywińskiego i zabezpieczyć się na przyszłość, ówczesny parlament procedował równie szybko jak obecny. Dnia 13 kwietnia 1938 r. weszła w życie **„Ustawa o ochronie imienia Józefa Piłsudskiego, Pierwszego Marszałka Polski"**.

Składała się z czterech artykułów, dwóch merytorycznych i dwóch formalnych.

Pierwszy z merytorycznych głosił: **„Pamięć czynu i zasługi Józefa Piłsudskiego – Wskrzesiciela Niepodległości Ojczyzny i Wychowawcy Narodu – po wsze czasy należy do skarbnicy ducha narodowego i pozostaje pod szczególną ochroną prawa"**.

Drugi stanowił: **„Kto uwłacza imieniu Józefa Piłsudskiego, podlega karze więzienia do lat 5"**.

Osadzonemu w areszcie docentowi Cywińskiemu sanacja wytoczyła proces. Mimo zasady, iż prawo nie działa wstecz, prokuratura, lizusowscy eksperci i media wywierali naciski na szybkie jego skazanie. W kwietniu 1938 r. Sąd Okręgowy w Warszawie skazał go na 3 lata więzienia.

Tak surowy wyrok wzburzył nawet ideowych piłsudczyków. Rozpoczął się ciąg apelacji. Ostateczny termin dla rozstrzygającego je Sądu Najwyższego wyznaczono na 4 września 1939 r.

Docent Cywiński wyszedł z aresztu w czerwcu 1938 r. po wpłaceniu wysokiej kaucji. Znowu aresztowany został 24 września 1939 r., ale już przez NKWD. Enkawudziści dokończyli to, co zaczęli piłsudczycy. Stanisław Cywiński zmarł z wycieńczenia w marcu 1941 r. w więzieniu w Kirowie.

Teraz farsa

Pan prezes Kaczyński nie jest na razie w Polsce tak czczony jak Marszałek Piłsudski u schyłku rządów sanacji. Może dlatego, że jeszcze żyje. Ale już grono wiernych podwładnych tworzy prawo pod jego osobiste interesy. Dzięki temu pan prezes nie musi wiele zapłacić za zasądzone przeprosiny i przede wszystkim nie musi znosić upokorzenia w czasie przypominanych mu tych przeprosin.

Ponieważ pan prezes Kaczyński żyje w czasach tworzenia prawa chroniącego jego dobre imię, inaczej niż w przypadku Piłsudskiego, to może na głupstwa swych podwładnych jeszcze reagować.

30 stycznia 2023 r. pan prezes Kaczyński wpłacił 50 tys. zł na wojsko ukraińskie. Taką wpłatę zaproponował mu wcześniej Sikorski. Wraz z obietnicą, że wtedy wygasną wszystkie jego roszczenia co do przeprosin Kaczyńskiego.

Kaczyński uznał, że za te pięćdziesiąt tysiaków warto zamknąć gębę Sikorskiemu i masowo już debatujących o lex Kaczyński mediów.

Liczy, że za pół roku ważne będzie, że on, z własnych pieniędzy, wpłacił na sojusznicze wojsko. A znany sknerus Sikorski takiego przelewu do pokazania nie ma. Dlaczego pan prezes musiał wpłacić – pamiętać jeszcze będzie niewielkie grono.

Oczywiście „lex Kaczyński" działa w obie strony, co już sugerują prominenci PiS. Pozwala na to samo opozycji. Sprzyja wolności krytyki wszystkim mediom, zwłaszcza tym niebogatym. Nie zdziwmy się, jeśli PiS-owskie lizusy ogłoszą niebawem pana prezesa Kaczyńskiego patronem wolności krytyki w mediach.
Ale nikt nie zagwarantuje, że właśnie uchwalone lex Kaczyński nie zostanie znowelizowane, skoro pan prezes uregulował sobie rachunki z Radkiem Sikorskim. Tak znowelizowane, aby sprawiedliwość i sądy były zawsze po stronie pana prezesa.

PIOTR GADZINOWSKI

eprasa.pl 5ca15fe926

Rysunkowy pędzistolec

Intymne pytanie: jakie kreskówki oglądaliście, gdy byliście dziećmi albo mieliście małe dzieci?

Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

„Żwirka i Muchomorka”? „Reksia”? „Misia Uszatka”? Poczekajcie… „Wilka i zająca”? A może „Królika Bugsa”? „Shreka” oglądaliśmy wszyscy, absolutnie wszyscy – bo czy inaczej prezes Jarosław Kaczyński nazwałby swoją kocicę Fioną? Na czyją cześć? Znamy tylko jedną Fionę i jest nią narzeczona Shreka, piękna księżniczka, która okazała się ogrzycą (samicą ogra). Rozumiemy, że głos Jerzego Stuhra, którym gadał osioł, mógł prezesowi trochę psuć seans, ale czego nie robi się dla Kota w Butach!

Zła wiadomość jest taka, że zapomnijcie o tym, iż Wasze dzieci i wnuki będą miały zapewnione takie rozrywki jak Wy. I tak – na przykład – powstał projekt współfinansowany przez Kancelarię Prezesa Rady Ministrów „ZwyciężaMY – VictorioUS”. Na 3 kreskówki o żołnierzach wyklętych budżet państwa wywalił 3 514 800 zł, a całość budżetu zamknęła się kwotą 3 714 800 zł. Toż to nic. Darmo! Najlepsze rzeczy dostaje się za darmo, prawda?

Znaczy wiktorius

Konsultantem projektu był Marcin Kaczorowski, prezes Stowarzyszenia Zachowania Pamięci o Armii Krajowej. Powiedział o wyklętych: **„Niezłomni to nie temat, a nieprzepracowana część naszej narodowej podświadomości. Podświadomości kodowanej zakłamanym językiem, w której »bezpieczeństwo« jest terrorem, »demokracja« – niewolą, a »sprawiedliwość« – bezprawiem”.** Nasza podświadomość mówi nam, że pan Kaczorowski idealnie zdiagnozował rządy PiS.

Michał Hasik to prezes i fundator Fundacji Forum Zrównoważonej Technologii, pomysłodawca akcji „ZwyciężaMY – VictorioUS”. Poza tym – podaję za LinkedIn – **„PR & Marketing Professional, especially in Sport, Tech and Financial Industries”.** Członek zarządu drużyny Hutnik Warszawa (IV liga piłkarska), ale ładny kawałek inwestycji na Bielanach między Wrzecionem a Marymoncką. Generalnie Hasik to członek wielu zarządów, fundator wielu fundacji, człowiek orkiestra. Jako wady podaje na profilu zawodowym, że jest uparty i nie zawsze cierpliwy. Ale ma poczucie humoru, gruntowne myślenie strategiczne, cechy przywódcze. Nic, tylko brać!

Spoko. Partnerami fundacji są m.in. fundacje – PKO, Orlen, Lotto…

Krótka koncepcja

Na łamach „Głosu Wielkopolskiego” z 28 grudnia 2022 r. fundator Hasik nęcił do oglądania patriotycznych kreskówek, na które skroił nas Morawiecki. **„Strona wizualna to kwestia gustu. Mnie osobiście cieszy to, że udało się stworzyć zakładaną formę animacji. Przygotowaliśmy ją z myślą o młodszych widzach, dlatego dominuje krótka, dynamiczna koncepcja audiowizualna. To materiał stworzony pod kanał YouTube, a tam królują nie dłuższe niż 2-minutowe nagrania. Co do samej techniki, to wszystkie 3 animacje nie odbiegają od światowych standardów. Sądzę, że w zderzeniu z największymi globalnymi animacjami nie mamy się czego wstydzić, ale niech każdy oceni to samodzielnie”.** Oceniliśmy, bo filmy miały premierę pod koniec zeszłego roku. Zdaje się, że „Pinokio” Morawiecki jednak przepłacił…

Policzyliśmy ból w minutach: 1,40 + 1,58 + 2,20 = 5,18. To najdłuższe 5 minut i 18 sekund w życiu! Nasze koty, bierne ofiary filmowych pasji golców, z wrażenia wstrzymały mocz. Co z kontynuacją projektu? Pytamy, bo przepychanie kota u weterynarza jednak jest drogie. Hasik odpowiada: **„Temat jest bardzo pojemny, a chęć kontynuacji bardzo nęcąca. Wszystko zależy jednak od pozyskanych środków na ten cel. Projekt był realizowany ze środków budżetu państwa. Liczymy, że w związku z ciepłym przyjęciem naszego projektu nasi darczyńcy rozważą możliwość nagłośnienia kolejnych nazwisk i faktów związanych z tą nieco zapomnianą kartą naszej historii”.** Za poruszające się upiorne gryzmoły wykonawczo odpowiadają: studio Circa Entertainment we współpracy z zespołem Alchemią Studio. Grafikom i scenarzystom doradzamy po matczynemu: nie wpisujcie tych gniotów do curriculum vitae. Kryzys idzie, z robotą będzie trudno.

Być jak Lew Rywin

Teraz będzie o dziesięciu milionach peelenów utopionych w serialu animowanym „Nie z tej ziemi”… Seryjka o wyklętych przy serialu o świętych to betka. I tak powinno być! Nikt nas nie przekona, że taki kapitan „Bury” lewitował. Efekty specjalne, efekty duchowe – to kosztuje. Nie bez znaczenia jest również to, że tym razem za robotę wzięli się profesjonaliści, a nie jakieś dzióbki biznesmenki od „Pinokia”.

Producentem animacji, na którą ma się składać 26 10-minutowych odcinków, jest Paweł Pewny. **„Niepoprawny marzyciel i optymista, uśmiechnięty wyznawca Chrystusa”** – podajemy za biogramem na ultrakatolickim portalu „Ruch Wiary” (tekst z marca 2019 r.). Ten sam Paweł Pewny, który wyprodukował „Włatców Móch” (2006–2009) – polską odpowiedź na amerykańskie „Miasteczko South Park”. Później zniknął, a następnie przeżył objawienie, a nawet kilka. Jego wielkim powrotem w roli producenta, którego zdaniem samego zainteresowanego typowano na następcę Lwa Rywina, miało być „Nie z tej ziemi”.

Po drodze, może w roku 2017, **„niewinny zelota”** miał ogromną przyjemność odbyć rzymskie rekolekcje z amerykańskim kardynałem Raymondem Leo Burkiem, o którym wiadomo, że jest na noże z papieżem Franciszkiem. Papa posunął go z funkcji prefekta Trybunału Sygnatury Apostolskiej (najwyższy organ sądowniczy Kościoła), po tym jak odkrył, że Burke robi wszystko, aby posunąć Franciszka z papieskiego tronu albo doprowadzić do buntu watykańskiej konserwy, wypieszczonej przez Wojtyłę i Ratzingera. Grunt to mieć marzenia i obracać się w dobrym towarzystwie!

Beczułka bernardyna

Podobno serialem „Nie z tej ziemi” zainteresował się Netflix, a jedną z twarzy projektu stał się aktor Marcin Musiał (serial „Rodzinka.pl”), o którym przed pandemią warszawka szeptała, że ma dojście do Amerykanów…

Partnerzy strategiczni? Oczywiście RUCH S.A. (udziałowcy: Orlen, PZU, PZU Życie, Alior Bank). Oraz KGHM Polska Miedź S.A. Polski Instytut Sztuki Filmowej również dołożył swoje w ramach **„dotacji celowej z budżetu państwa przeznaczonej na wsparcie produkcji audiowizualnej”.** Były też internetowe ściepy.

„Nie chcę nikomu na siłę mówić, co jest dobre, a co złe, bo większość ludzi wie to doskonale. Chcę, żeby dzieci miały szansę oglądać wartościowe i bezpieczne dla nich filmy, które też będą dla nich inspiracją. (…) Serial będzie pomocą dla rodziców, dziadków i katechetów w rozwiązywaniu różnych problemów wychowawczych” – zajawiał Pewny na łamach portalu ultrasów Aleteia w maju 2019 r.

2 lata później na gali projektu „Niezastąpieni” (chrześcijańskiego rodzicielstwa zastępczego) w wilanowskim pałacu odbyła się premiera pierwszego odcinka „Św. Bernard z Doliny Aosty, czyli co się kryje w ciemnym lesie”. Odcinek ten miał promować wartość posłuszeństwa. Całość promował animowany pies rasy bernardyn… Na fotosie psina ma zwyczajową alkoholową beczułkę u obroży, ale wygląda na psa trzeźwego, oczekującego na polecenia w poczuciu świętego obowiązku. Hau! Hau! Mój Boże! Hau, hau. Tato i mamo…

Seria miała wystartować we wrześniu 2021 r. Profil facebookowy projektu milczy od czerwca 2021 r., ma wywalone na zaniepokojonych fanów i darczyńców. Widać, że niezbadane są wyroki pańskie…

Mój przyjaciel Karol

„Franek, nasz główny Bohater, to wesoły chłopiec. Taki zawadiaka o dobrym sercu, który co i rusz ulega kolegom i wystawiony jest na złe podszepty. Dość często pakuje się w kłopoty. Myśli, że znajduje się w sytuacjach bez wyjścia. Wówczas pojawia się Karol, który jak prawdziwy przyjaciel wsłuchuje się w sytuację chłopca. Karolowi zawsze towarzyszy ktoś jeszcze równie życzliwy i serdeczny. To Super Święty Bohater odcinka, który pomaga Frankowi zmierzyć się i rozwiązać problemy w danym dniu. Chłopiec w tych spotkaniach i doświadczeniach odkrywa właściwe postawy. Poznaje wartości chrześcijańskie, którymi powinien kierować się w życiu, a które są przecież uniwersalne dla każdego człowieka” – oto fragment one pagera (jednostronicowy prospekt) projektu. A to z charakterystyk postaci (w obu cytatach pisownia oryginalna): **„Karol – Przyjaciel Franka/ Pośrednik Franka i całej Rodziny w relacji ze Świętymi/ pojawia się w różnych sytuacjach dotyczących Franka/ poświęca Chłopcu czas i uwagę/ towarzyszy spotkaniom Franka z Świętym/ Franek nawet nie podejrzewa, że Karol to Święty Jan Paweł II”.** Przyjaciel i pośrednik! I animacja „Lolka” Wojtyły – w spodniach z paskiem, a nie w kiecce…

Może ktoś rozsądnie pomyślał, że skoro inbę wywołuje czarnoskóra syrenka Disneya, to dopiero będzie wrzask, gdy okaże się, że najlepszym przyjacielem chłopca jest papieski obrońca kościelnych pedofilów.

Należy żyć nadzieją i dopatrywać się rozsądku od czasu do czasu, chyba że po prostu hajs, ten składkowy i ten publiczny, gdzieś się rozmył, jak to z hajsem bywa.

IZABELA SZOLC

LISTONOSZ DONIÓSŁ

„Krowom pokój, ludziom siano”

Szanowny Panie Redaktorze, uznałbym Pana pomysł za genialny („NIE”, nr 4/2023), gdyby był odniesiony do rzeczywistości.

Już w założeniach wkradło się zasadnicze odstępstwo od rzeczywistości. Wprawdzie dzikich drapieżców są śladowe liczby, ale przecież hodujemy miliony (według zapamiętanych danych ok. 7,6 mln psów i ok. 1 mln kotów) drapieżników, za które wykonujemy czynność zabijania, ponieważ ich dieta wymaga mięsa. Te drapieżniki mają komfort polowania dla zabawy (miliony zagryzionych przez koty małych ptaków) bez jakiegokolwiek ryzyka ze strony ofiar, ubijanych w rzeźniach.

Pana wyliczenia drapieżników pomijają zainteresowanych widzów zabijania przy ich pełnym bezpieczeństwie oraz tych, którzy z zabijania czerpią korzyści, będąc całkowicie bezpiecznymi. Na każdym widowisku najbrutalniejszej nawet walki widzów, bukmacherów i dostawców broni jest wielokrotnie więcej niż „zawodników”. Takie proporcje występowały już przy walkach gladiatorów. Zawsze znajdą się ci, którzy sprowokują lub zmuszą „gladiatorów” do walki w swoim interesie lub dla swoich ambicji.

Zwłaszcza obecnie, gdy z odległości tysięcy kilometrów, siedząc bezpiecznie przy ekranie, ludzie mogą zabijać jak w grze cyfrowej albo urządzić transmisję z zabijania człowieka uznanego za wroga i jego rodziny.

Ponieważ faktyczni decydenci i inicjatorzy walk wraz ze swoimi poplecznikami pozostają całkowicie poza zagrożeniami, to nawet gdyby wszyscy – jak Pan to nazwał – „wojownicy” po obu stronach frontu wymordowali się wzajemnie, to zainteresowani znajdą inne obszary i innych „gladiatorów” do wszczęcia kolejnych potrzebnych im konfliktów.

Zgadzam się z tezą, że gdy dolać benzyny do ognia, powstanie szansa szybszego wypalenia się konfliktu, ale pozostający – jeżeli pozostaną – wegetarianie raczej nie będą mieli szans na „kontemplowanie dobra i zła”, bo całkowicie zajmie ich walka o przetrwanie.

Istnieje ponadto poważne ryzyko, że tak jak przy wypalaniu traw ogień może się rozprzestrzenić w nieprzewidywanym kierunku, a to jest już niebezpieczne nie tylko dla nas, ale i całego świata.

AAT

REKLAMA

eprasa.pl 5ca15fe926

Pisowska polityka historyczna łże jak z nut.

Ojczyzna pańszczyzna

Rys. HENRYK CEBULA

160. rocznica powstania styczniowego upływa w cieniu i pod wpływem wojny w Ukrainie. Nie jest to wpływ dobroczynny. Umacnia i tak już silną pod rządami PiS skłonność do nacjonalistycznego i bezmyślnego zniekształcania prawdy historycznej. Powstanie styczniowe w tej propagandowo spreparowanej opowieści urasta do potężnego antyrosyjskiego zrywu czterech sprzymierzonych narodów: polskiego, litewskiego, białoruskiego i ukraińskiego. Do czegoś w rodzaju preludium dzisiejszej wojny… W tym duchu przemawiał 22 stycznia pod Bramą Straceń Cytadeli Warszawskiej prezydent Duda. Taką opowieść o powstaniu głosi rządowy aparat propagandowy. Jest to korygowanie historii odpowiednio do potrzeb dzisiejszej polityki. Inaczej mówiąc, jej fałszowanie. Mniej lub bardziej udolne, często na poziomie zwykłych dyrdymałów.

Powstanie styczniowe w rzeczywistości było ostatnią polską szlachecką insurekcją w Królestwie oraz na tzw. ziemiach zabranych. Zaangażowała się w to powstanie tylko część 4-milionowej ludności polskiej tych ziem, według różnych szacunków od 200 do 300 tysięcy.

1.

Powstanie styczniowe w rzeczywistości i w opinii historyków było wśród powstań okresu zaborów najbardziej tragiczne. Trwało nieco dłużej niż inne i pochłonęło więcej ofiar. Nie było powszechne ani w Królestwie, ani tym bardziej w Wielkim Księstwie Litewskim i w Ukrainie. W odróżnieniu od insurekcji kościuszkowskiej i powstania listopadowego nie rozwinęło się w wojnę polsko-rosyjską, lecz rozegrało się w licznych potyczkach niewielkich, słabo uzbrojonych partii powstańczych (tylko część powstańców miała jakąś broń palną, wielu tylko kosy, siekiery lub drągi) z oddziałami rosyjskimi, głównie kawalerią.

W wielkim pałacu kremlowskim największa sala (ponad 1000 miejsc siedzących) poświęcona jest Krzyżowi św. Jerzego, najważniejszemu wojskowemu odznaczeniu carskiej Rosji, ustanowionemu w 1807 r. Na wykonanych w białym marmurze ścianach tej sali umieszczono informacje o wszystkich oddziałach wojskowych wyróżnionych tym orderem w XIX w. Prawie połowa z nich otrzymała go za stłumienie powstania listopadowego. Za styczniowe nie został wyróżniony żaden pułk. Ta proporcja najlepiej świadczy o charakterze wojny: w listopadowym – regularna, w styczniowym – partyzancka.

Według fundamentalnej monografii Stefana Kieniewicza „Powstanie styczniowe" w ciągu piętnastu miesięcy powstania stoczono ponad 1000 potyczek zbrojnych, a liczebność powstańczych oddziałów z rzadka wykraczała ponad setkę żołnierzy.

Jak zwykle w takiej partyzanckiej wojnie sukces zależał przede wszystkim od poparcia, jakim się cieszyła wśród miejscowej ludności – w tym przypadku wśród chłopów, wciąż jeszcze pańszczyźnianych, stanowiących ponad 75 procent ludności ziem objętych powstaniem. Szlachty było w Królestwie około dziesięciu procent ludności, a na ziemiach przyległych nieco mniej. Do powstania przystąpiła znaczna większość dorosłych mężczyzn z tej szlacheckiej populacji, a także sporo mieszczan, zwłaszcza inteligencji szlacheckiego pochodzenia. Natomiast dla chłopów była to pańska wojna. Według optymistycznych szacunków w powstańczych oddziałach partyzanckich chłopi w lecie 1863 r. stanowili jedną trzecią – około pięciu tysięcy. To nikły ułamek ludności chłopskiej, znacznie mniej niż w powstaniu listopadowym, w którym biły się regularne polskie wojska. W podstawowej masie tych wojsk, w piechocie, ze szlachty rekrutowali się oficerowie, a szeregowymi żołnierzami byli powołani do wojska chłopi. Według Kieniewicza więcej chłopów czynnie przeciwstawiało się powstaniu, niż w nim uczestniczyło. Od początku powstania w wielu regionach Królestwa wybuchały lokalne chłopskie bunty i napady na dwory; bywało, że właścicieli majątków z rodzinami i oficjalistami wiązano i dostarczano w ręce rosyjskie. Nauka galicyjskiej rabacji nie poszła w las, choć szczęśliwie w Królestwie pojmanych dziedziców chłopi nie mordowali.

Szeroko przyjął się pogląd, że powstaniu chłopi zawdzięczają ziemię. Jest w tym tylko część prawdy. Zniesienie poddaństwa i nadanie chłopom ziemi zostało w Rosji postanowione po objęciu tronu przez Aleksandra II (1855 r.) i oficjalnie ogłoszone dekretami z 19 września 1861 r., ponad rok przed powstaniem. Poddaństwo zniesiono od razu, ale nadzielanie przeciągnęło się na kilka lat. Zasadą było przekazanie chłopom za wykupem zagrody i porcji gruntu. Większą część opłaty za ten nadział przekazywał właścicielom majątku od razu skarb państwa, traktując to jako kredyt dla chłopa, spłacany wraz z podatkiem przez 49 lat. Wielkość nadziałów i ich wartość była różna w poszczególnych regionach. Niewielką część kosztu wykupu miał uiścić chłop od razu, a jeśli nie stać go było – odrabiać pracą przez 9 lat. Pozostawał **„czasowo zobowiązany"** do pańszczyzny, choć już wolny.

2.

Do tych szczegółowych regulacji w zachodnich prowincjach cesarstwa przed wybuchem powstania jeszcze nie doszło. W pierwszej kolejności zajmowano się wprowadzaniem reformy w regionach czarnoziemu oraz w centralnej Rosji. Proklamując powstanie, Centralny Komitet Narodowy, opanowany przez lewicujących czerwonych, uchwalił własny dekret o uwłaszczeniu chłopów na ziemiach dawnej Rzeczpospolitej, znacznie hojniejszy od carskiego. Chłopi mieli dostać na własność wszystkie użytkowane przez siebie grunty bez wykupu, szlachcie obiecano tylko jakąś indemnizację ze skarbu państwa. Organizatorzy powstania liczyli, że w ten sposób pozyskają poparcie wsi. Niestety tak się nie stało, ponieważ powstanie nigdy nie zdobyło realnej władzy i ten dekret pozostał jedynie obietnicą. Ziemianie zaś na własną rękę nie śpieszyli się, by chłopów uwłaszczać. Większość wsi zajęła zatem wobec powstania stanowisko zasadniczo wyczekujące, licząc bardziej na cara niż na powstańcze obietnice.

Car zdecydował się ukarać szlachtę za powstanie i nagrodzić chłopów hojniejszymi niż w Rosji warunkami uwłaszczenia. Najpierw jeszcze w 1863 r. w zachodnich guberniach, czyli w Wielkim Księstwie Litewskim oraz w Ukrainie, wprowadzono uwłaszczenie z natychmiastowym pełnym wykupem sfinansowanym przez skarb państwa, wymierzono też hojniej niż w Rosji wielkość nadziałów i obniżono ich cenę. 2 marca 1864 r. ogłoszono dekrety uwłaszczeniowe dla Królestwa, jeszcze korzystniejsze dla wsi. Dość hojnie nadzieloną ziemię chłop otrzymywał od razu bezpłatnie, a pańszczyznę zlikwidowano natychmiast. Zamiast wykupu wprowadzano podatek gruntowy, początkowo dość umiarkowany. Właściciele ziemscy otrzymywali odszkodowanie skromniejsze niż w Rosji. W dyskusji nad projektem tego dekretu minister spraw wewnętrznych hrabia Piotr Wałujew zauważył ironicznie: **„Tak więc dwa razy zdobyliśmy Polskę orężem, teraz chcemy ją kupić u polskich chłopów za pieniądze!"**. Ale woli cara stało się zadość. Według Kieniewicza te dekrety uwłaszczeniowe natychmiast położyły kres powstańczej partyzantce. Chłopi, którzy przystali do powstania, opuścili je, a część podjęła aktywne zwalczanie pozostałych jeszcze oddziałów. Oprócz korzystniejszego w Królestwie niż w Rosji nadzielenia w pozyskaniu wsi duże znaczenie miało ustanowienie tymi dekretami wiejskiego samorządu: wybieralnych wójtów i sołtysów. Zniesiono w ten sposób znienawidzoną przez chłopów gminę dominialną, wciąż obowiązującą w Królestwie. W gminie takiej urząd wójta z uprawnieniami administracyjnymi i sądowniczymi sprawował właściciel ziemski. Było to bardzo skuteczne narzędzie szlacheckiej dominacji. Rządy powstańcze w każdym wydaniu, czerwonym czy białym, nie decydowały się na likwidację tej instytucji. Wydarzenia te Kieniewicz podsumował tak: **„Zmiana w postawie chłopów przy jednoczesnym ustaniu pomocy zza kordonu kładła kres wojnie partyzanckiej"**. Powstanie wygasło.

3.

Na Litwie i Białorusi powstanie organizowali i w nim walczyli głównie zamieszkali tam Polacy, w większości szlachta zagrodowa z zaścianków, licznych w tamtych stronach. Byli to Litwini w pojęciu mickiewiczowskim (**„Litwo, Ojczyzno moja…"**), a nie etnicznym. Autentyczni Litwini i Białorusini trafiali się rzadziej. Jedynie na Żmudzi na wiosnę 1863 r. przystąpiło do powstania kilka tysięcy chłopów autentycznie litewskich, motywowanych obroną wiary katolickiej. Sformowali dużą partię, dowodził nią Polak, wybitny oficer, kapitan sztabu generalnego armii rosyjskiej, powstańczy generał Zygmunt Sierakowski. Oddział ten po kilku sukcesach został rozbity pod Birżami, a ciężko ranny dowódca dostał się do niewoli. Zginął na szubienicy w Wilnie.

Rząd carski wiosną 1863 r. zadekretował na Litwie uwłaszczenie chłopów, które spowodowało wycofanie ich poparcia dla powstania. Walczyła nadal polska szlachta i bliskie jej mieszczaństwo. Represje rosyjskie były tam wyjątkowo surowe, szacuje się, że zginęło w tych walkach 30 procent tamtejszej szlachty.

W Ukrainie powstanie wszczęto z opóźnieniem, po kilku tygodniach wygasło. Potem kilka razy wznawiane, nie osiągnęło większych rozmiarów. Polskie zaplecze szlacheckie było zbyt słabe, a wieś ukraińska zdecydowanie powstaniu i Polakom niechętna.

Połowa XIX w. to okres budzenia się w społeczeństwie litewskim i ukraińskim nowoczesnej świadomości narodowej i nastrojów patriotycznych oraz nacjonalistycznych. Powstanie styczniowe nie korelowało z tymi nastrojami.

Wszystkie bowiem powstańcze orientacje, od czerwonych do białych, stanowczo obstawały przy programie restytucji wolnej Polski w granicach przedrozbiorowych, sfederowanej z Litwą i Ukrainą na kształt I Rzeczpospolitej. Ten program odradzającym się narodowo Litwinom i Ukraińcom kojarzył się źle – jako zależność i brutalny kolonialny wyzysk. Świadczą o tym literackie pomniki tego narodowego odrodzenia. Taras Szewczenko w wierszu „Do Osnowjanenki" (1840 r.) z nostalgią opiewał stepy Ukrainy, gdzie **„krew Lacha, Tatarzyna morzem czerwieniła"**. Młody Mykoła Janowski-Hohol, urodzony w ukraińskiej rodzinie spowinowaconej z polską szlachtą, a później jako Mikołaj Gogol, klasyk rosyjskiej literatury, napisał w tym czasie jedyną w swej twórczości powieść historyczną „Taras Bulba" (1835 r.) o wymowie antypolskiej. Ten literacko mierny utwór do dziś należy do kanonu obowiązkowych lektur ukraińskiego nacjonalizmu. Idea restytucji I RP nie współgrała z odrodzeniem narodowym Litwy i Ukrainy i do udziału w powstaniu styczniowym nie zachęcała.

4.

Dodatkowym i bezmyślnym fałszem historycznym współczesnej oficjalnej opowieści o powstaniu styczniowym jest odrzucanie w niepamięć wszystkich nurtów polskiej myśli politycznej, które wskazywały inną niż powstańcza drogę ku niepodległości. Milczeniem lub potępieniem traktuje się margrabiego Aleksandra Wielopolskiego i jego niewątpliwe osiągnięcia w zabiegach o autonomię Królestwa. Józef Piłsudski, choć wielbił powstanie, Wielopolskiego też cenił wysoko. W znanym wykładzie o powstaniu z 1912 r. zaskoczył słuchaczy oceną: **„Wielkości, gdzie twoje imię? – Największe imię to margrabia! Chciałem go kochać za wielkość, bo miał on dumę i godność swego narodu"**. Pod rządami sprawiedliwej, a nie zaklaskanej polityki historycznej miałby margrabia w Polsce swój pomnik, choćby w rodzinnej Chrobrzy.

Bardziej jeszcze bezmyślne i szkodliwe dla kultury politycznej jest pomijanie milczeniem krytycznego wobec powstania stanowiska Romana Dmowskiego. W jego myśli politycznej jest sporo fałszu, a nawet obrzydlistwa, jak podział Polaków na prawdziwych i tylko metrykalnych, zoologiczny antysemityzm, pogardliwy stosunek do Ukraińców, ale w kwestii powstania styczniowego ma rację – kieruje się realizmem i nowocześnie pojmowanym interesem narodowym. Szanował poświęcenie i żołnierskie bohaterstwo powstańców, ale samo powstanie uważał za szkodliwą dziecinadę.

M.Z.

eprasa.pl 5ca15fe926

Problem kobiety przy siatce

Był klub, nie ma klubu. Życie toczy się dalej.

W kwietniu minionego roku siatkarki IŁ Capital Legionovia wyszły na przedmeczową rozgrzewkę w pomarańczowych koszulkach z napisem S.O.S. Ponieważ w tych strojach uśmiechały się do zdjęcia, tylko osoby dobrze znające sytuację w klubie wiedziały, jak bardzo poważna jest sprawa i jak dramatyczne staje się położenie zawodniczek i ich trenera.

Po zakończeniu sezonu, dodajmy: sezonu bardzo udanego, w którym Legionovia dotarła do finału Pucharu Polski, z zespołu odeszły czołowe zawodniczki: reprezentantki Polski Alicja Grabka i Olivia Różański oraz doświadczone Maja Tokarska i Izabela Lemańczyk. Klub zmienił też prowadzący zespół przez 3 sezony znakomity włoski szkoleniowiec Alessandro Chiappini. Legionovia otrzymała jednak licencję i przystąpiła do gry w najwyższej lidze. Całkiem niedawno, w trakcie trwania sezonu, ogłoszono bankructwo klubu. Wyniki wszystkich meczów z jego udziałem unieważniono.

W Tauron Lidze, najwyższej w hierarchii klasie rozgrywkowej, zostało 11 drużyn. Trener Chiappini i zawodniczki nie mają się natomiast do kogo zwrócić o zwrot zaległych pensji. A są to kwoty niemałe, przynajmniej jak na tę dyscyplinę sportu. Długi sięgają 2,5 mln zł. Trener mówi otwarcie, że Legionovia zalega mu z wypłatą za cały sezon. Być może pokrzywdzeni będą musieli pozwać do sądu Polski Związek Piłki Siatkowej lub Komisję Ligi, bo klubu pozwać nie mogą. On już nie istnieje.

Rys. TOMASZ WIATER

Pieniądze widmo

Alicja Grabka to znakomita rozgrywająca, powołana do reprezentacji Polski. Przez 8 lat grała dla Legionovii; to kawał życia 25-letniej kobiety. Jak przyznaje, przed sezonem podpisała z Legionovią ugodę finansową, choć miała wątpliwości, czy klub będzie się mógł wywiązać ze zobowiązań. Problem w tym, że u nas nikt nie weryfikuje sponsorów. Równie dobrze ona sama mogłaby powiedzieć, że ma 5 mln zł na koncie, zatrudnić zawodniczki i bawić się w ligową piłkę. Później zwinąć interes i zostawić siatkarki bez pieniędzy. A przecież młode kobiety muszą z czegoś żyć, mają do spłacania kredyty, powinny coś zaoszczędzić na ułożenie sobie życia po zakończeniu kariery sportowej.

Pensje siatkarek pochodziły z dwóch źródeł: od sponsora i od władz Legionowa.

Przez cały sezon miasto wywiązywało się ze swoich powinności solidnie i w terminie, dlatego zawodniczki miały co jeść. Od sponsora siatkarki nie zobaczyły nawet złotówki.

Miały jeszcze nadzieję, że klub otrzyma zastrzyk gotówki z Ministerstwa Sportu i Turystyki, dlatego podpisywały wspomniane ugody finansowe. Chodzi o to, że wysoka piąta lokata w lidze dała im prawo startu w europejskich pucharach, konkretnie w Pucharze Challenge (trzeci co do rangi puchar europejski). Rok temu resort sportu hucznie zapowiedział niemałe dotacje z programu wsparcia mistrzów. W 3 lata pucharowicze w najpopularniejszych dyscyplinach mieli otrzymać aż 700 mln zł. W Legionowie bardzo na to liczono. To nie pierwszy klub, który zawiódł się na rządowych obietnicach. Gdy okazało się, że pieniędzy nie ma, prezes Legionovii Konrad Ciejka chciał wycofać zespół z kosztownych rozgrywek pucharowych. To nie takie łatwe. Za wycofanie Europejska Federacja Siatkówki (CEV) nałożyłaby na Legionovię karę 25 tys. euro. Tak źle, a tak jeszcze gorzej. Nie było rady.

Prezes Ciejka pożyczył pieniądze od rodziny i wpłacił 100 tys. zł do klubowej kasy w nadziei, że kiedyś je odzyska.

W Pucharze Challenge Legionovia wystartowała w charakterze ubogiego krewnego. W 1/16 finału przyszło jej się zmierzyć z włoskim Reale Mutua Fenera Chieri. Władze polskiego klubu zdecydowały, że mecz i rewanż rozegrają w Chieri. W zamian Włosi pokryli koszty pobytu w swoim kraju. Pucharowa przygoda prędko się skończyła.

Posprzątać po sponsorze

Co dalej? Dziennikarz legionowskiej „Gazety Powiatowej" rozmawiał z prezesem Ciejką. Na pytanie, czy zaległości wobec zawodniczek i sztabu trenerskiego zostaną uregulowane, prezes odpowiedział szczerze: **„Prawdopodobnie nie zostaną uregulowane, ponieważ nie mamy na to środków"**.

Pozostanie jeszcze jeden, już niewielki, wydatek. Siatkarki grały z nazwą sponsora IŁ Capital na koszulkach. Mogą je sobie zostawić na pamiątkę. Trzeba natomiast usunąć z hali sportowej wszystkie elementy reklamowe należące do IŁ Capital Igor Łukasik. To też kosztuje…

Ktoś, kto interesuje się tylko futbolem, skokami narciarskimi i siatkówką w męskim wydaniu, machnie ręką. Cóż, stało się, nie pierwszy to klub, któremu zabrakło kasy i musiał zakończyć działalność. Tylko w żeńskiej siatkówce w ostatnich latach zdarzyło się to kilkakrotnie. Trefl Proxima Kraków w 2018 r. zakończył działalność z powodu… braku odpowiedniej hali do treningów. W 2021 r. rozwiązano żeńską sekcję siatkówki PTPS Piła. W Ekstraklasie nie ma już nie tylko zespołów z Krakowa i Piły, ale także z Warszawy, Białegostoku, Muszyny, Ostrowca Świętokrzyskiego, Dąbrowy Górniczej. Gdyby dobrze poszperać, zwłaszcza w niższych ligach, znalazłoby się więcej przykładów.

Legionowska kuźnia kadr

Legionovia to jednak szczególnie ważny klub dla polskiej żeńskiej siatkówki. Wciąż marzy nam się powrót na światowe boiska „Złotek", wspaniałych siatkarek, które pod wodzą Andrzeja Niemczyka sięgały po złote medale mistrzostw Europy i podbiły serca kibiców. Do dziś kibice pamiętają Małgorzatę Glinkę, Katarzynę Skowrońską, Izabelę Bełcik i ich koleżanki. Gdy zabrakło sukcesów, na trybuny zaczęło przychodzić coraz mniej widzów.

W minionym roku reprezentację Polski siatkarek objął Włoch Stefano Lavarini, zawodniczki zaczęły grać lepiej, choć jeszcze daleko im do medali największych światowych imprez. I teraz uwaga: wiele naszych kadrowiczek albo uczyło się gry w siatkówkę w Legionovii, albo tam rozwinęło swoje umiejętności. Klaudia Alagierska-Szczepaniak, Zuzanna Górecka, Katarzyna Zaroślińska-Król, Iga Wasilewska, Alicja Grabka – każda z nich ma ważny sportowy epizod w Legionovii. Podwarszawski klub był pierwszym w karierze Malwiny Smarzek-Godek, jednej z najlepszych naszych atakujących, która jednak, spostponowana przez polskich kibiców (chodziło o jej występy w Zenicie Kaliningrad), zrezygnowała z reprezentacji i wyjechała jak najdalej od naszego kraju – aż do brazylijskiego klubu w Osasco.

Na szczęście akademia siatkarek w Legionovii jest innym prawnym podmiotem niż ekstraklasowy zespół i nie została zlikwidowana, a jej reprezentacja dobrze sobie radzi w I lidze. Ale czy jeśli młode zawodniczki nie będą miały kogo podpatrywać na treningach (zwykle też podawały piłki podczas meczów starszych koleżanek klubowych) ani nadziei na awans do pierwszego zespołu, to nie stracą zapału? Nie chcę myśleć, że kryzys finansowy rozleje się na młodzieżową drużynę.

Bankructwo Legionovii to potężny cios w polską siatkówkę żeńską, i to akurat w momencie, gdy zdawała się pomału wydobywać z kryzysu. Która z dobrych zagranicznych zawodniczek nie zastanowi się teraz kilka razy, zanim podpisze kontrakt z klubem z Tauron Ligi? A co z kibicami? Legionovia dorobiła się ich wcale licznej grupy, która jeździła z zespołem na mecze wyjazdowe.

Trener Chiappini nie wyjechał z Polski, znalazł przystań w utytułowanym łódzkim ŁKS – obecnie druga lokata w lidze. Ale co mają powiedzieć np. Portorykanka Neira Ortiz czy Ukrainka Martyna Mazenko, które nie zdołały się ewakuować, zanim okręt zatonął? Prawdę mówiąc, nie wiem, jakie są ich losy, nigdzie nie znalazłem na ten temat informacji. Jedno jest pewne: nie są zamożniejsze niż przed przyjściem do Legionovii.

Machlojki i przekręty

Wątpię, aby to było pociechą dla zawodniczek, kibiców i działaczy podwarszawskiego klubu, który właśnie zbankrutował, ale Legionovia nie jest jedynym klubem w Polsce i na świecie, który musiał zakończyć działalność, choć rzeczywiście rzadko się zdarza, aby stało się to w trakcie rozgrywek.

Najgłośniej jest o kłopotach klubów futbolowych we Włoszech. Teraz dużo mówi się o problemach słynnego Juventusu. Nie, najbardziej utytułowany włoski klub futbolowy nie zbankrutuje. To zbyt potężna instytucja i zbyt duży kapitał za nim stoi. Machlojki księgowe spowodowały jednak odebranie mu piętnastu punktów ligowych i dymisję całego zarządu. Sprawa się nie zakończyła. Cristiano Ronaldo, a to przy jego transferze miało dochodzić do największych manipulacji, zapowiedział pełną współpracę z włoską prokuraturą.

Już raz, w 2006 r., Juventus został zdegradowany do Serie B za podejrzenia o ustawianie meczów (tzw. afera Calciopoli). Podniósł się jednak z upadku.

Pozostańmy przy włoskim futbolu czy też – jak tam mówią na tę dyscyplinę sportu – *calcio*. W 2021 r. bankructwo ogłosił klub ChievoVerona, który jeszcze niedawno grał w Serie A. Gwoździem do trumny były zaległości wobec fiskusa.

Klub Parma Calcio był w końcówce lat 90. minionego wieku europejską potęgą, za którą stała potęga koncernu spożywczego Parmalat. Okazało się, że właściciel koncernu Calisto Tanzi narobił przekrętów na kilkanaście miliardów euro i został skazany na 18 lat więzienia. Klub upadł i po zmianie nazwy oraz właścicieli przez lata pomaleńku odbudowuje siłę. Obecnie gra w Serie B i zajmuje miejsce w środku tabeli.

To nie jest dobry interes

Dziennikarz portalu „Business Insider Polska" Jacek Frączyk dokładnie przeanalizował sytuację polskich klubów Ekstraklasy. Czarno na białym wyszło mu, że futbol nie jest dobrym interesem. Nawet jeśli dzięki różnym zabiegom księgowym sytuacja nie wygląda fatalnie, to tak naprawdę nad kreską jest tylko Lech Poznań – dzięki sprzedaniu za granicę kilku zawodników za przyzwoite pieniądze: Jakuba Modera (za 11 mln euro), Kamila Jóźwiaka (4,3 mln), Roberta Gumnego (2 mln), Tymoteusza Puchacza (2,5 mln euro). Pieniądze te posłużyły głównie do zasypania dziury finansowej powstałej w minionych latach.

O dziwo, w najgorszej sytuacji są te kluby, których gospodarzami są miasta (Śląsk Wrocław, Górnik Zabrze) oraz bogate spółki skarbu państwa (Zagłębie Lubin). Najlepiej mają się natomiast te, które pozostają w prywatnych rękach: Lech Poznań Piotra Rutkowskiego, Pogoń Szczecin należąca do spółki EPĄ i Raków Częstochowa Michała Świerczewskiego z x-kom.

Serwis „Business Insider" to rzetelne źródło informacji ekonomicznych; nie przez przypadek nagradzany był wieloma wyróżnieniami. Jeśli dobrze się wczytać w publikację Frączyka, można mieć obawy, że czeka nas wiele nieprzyjemnych wiadomości o kłopotach polskich klubów. Nie tylko piekarnie, restauracje i fabryki, potrzebujące do produkcji dużej ilości gazu, mogą się zamykać. Kluby sportowe ustawiają się w kolejce za Legionovią.

Minister sportu Kamil Bortniczuk ich nie uratuje. Chyba że prezesem będzie jego partyjny kolega…

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – redaktor naczelny,
Przemysław Ćwikliński, Waldemar Kuchanny (zastępcy red. nacz.), Małgorzata Daniszewska, Bożena Dunat, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Maciej Mikołajczyk, Andrzej Sikorski, Agnieszka Wołk-Łaniewska.
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc (grafika, DTP).
WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.
ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.
DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl
Współpraca: „Daniszewska i córka s.c."
Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.
DRUK: Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl
Poczta Polska – prenumerata krajowa:
Infolinia 801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600
www.prenumerata.poczta-polska.pl
„Ruch" S.A. – prenumerata krajowa:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7°– 17°.
(koszt połączenia wg taryfy operatora).
prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę:
Informację o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75
www.ruch.com.pl
e-mail: prenumerataz@ruch.com.pl
Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta
(koszt połączenia wg taryfy operatora):
• połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803
• połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00
Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc., 3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont., L4X 2E6 Canada. Tel. (905) 624-4726.0
Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl
Numer zamknięto: **str. 1–16 – 1.02.2023 r.**

eprasa.pl 5ca15fe926

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Historia tego, jak Daniel Georges Gilles de la Tourette Obajtek nie został osobowym źródłem informacji Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, jest romantyczna jak rytualny ubój świń rasy kunekune.

Najpierw szef ABW usłyszał o Pcimiu. Od podwładnych zażądał szczegółowego raportu o tym mieście. Okazało się, że żyje tam niezwykły człowiek. Jego główną umiejętnością jest szewstwo, w którym najbardziej upodobał sobie przeklinanie. Poza tym seryjnie buduje sklepy w amerykańskim stylu, do których można wjeżdżać samochodem i bez wychodzenia z auta brać towar z półek. Zatyka i odtyka rury ze sztucznego tworzywa. Rucha aż miło krewniaków, w których firmie pracuje.

– Będzie z niego agent jak złoto – ucieszył się szef ABW i przydzielił Obajtkowi oficera prowadzącego: agentkę Beatę Z.

Beata Z. chodziła za Obajtkiem jak cień. Gdy Obajtek klął, Z. klęła razem z nim. Gdy walił w rogi krewnych, pilnowała, żeby nie złamał ręki. Gdy wjeżdżał samochodem do sklepu, podążała za nim rowerem.

Nie od dziś wiadomo, że wszystkie służby specjalne werbują tajnych współpracowników, wykorzystując ich słabości. Ubogim obiecują pieniądze, chorym wyleczenie, dewiantom grożą, że ujawnią ich zboczenie, a ambitnym gwarantują karierę jak z bajki.

Beata Z. była specjalistką od niekonwencjonalnego wykorzystywania funduszów operacyjnych: brała z kasy ABW kasę, a potem leciała na Marsa, aby wypłacić ją tajnym współpracownikom przybywającym tam z Jowisza.

Tego dnia – a dzień ten przejdzie do historii pod nazwą D-Day (D jak Daniel) – Z. pobrała z kasy tysiąc papierów w banknotach po sto. Następnie nadziała je na haczyk, haczyk przywiązała do żyłki, żyłkę do kołowrotka, a kołowrotek przytwierdziła do wędziska.

Dziś będziesz mój – pomyślała.

Gdy Obajtek przechodził pod amerykańskim mostem zwodzonym w Pcimiu (pod takim, na który wjeżdża się samochodem), stojąca na moście Z. zarzuciła przynętę. Prawym okiem Obajtek zauważył amerykańskie pieniądze i już-już miał się po nie schylić, gdy kątem lewego oka dostrzegł pałę.

– Jaka piękna brudna pała! – ucieszył się Obajtek, który od dawna o takiej pale marzył.

Agentka Z. musiała gasić pożar. Zeszła z mostu pod most, podkasała sukienkę i słodkim głosem Danuty Holeckiej zapytała: – Hej, chłopcze, chciałbyś poprowadzić dzisiejsze wydanie „Wiadomości"?

Po czym poprawiła się: – Hej, chłopcze, chciałbyś, żebym ci zrobiła to, co księża robią ministrantom?

– Nie – odpowiedział Obajtek.

W ten sposób Daniel de la Tourette Obajtek nie został osobowym źródłem informacji ABW, o czym z czystym sumieniem powiadomił niedawno zarząd Polskiego Koncernu Naftowego Orlen. Podczas D-Day bowiem radca prawny koncernu również znajdował się pod mostem – ukryty w krzakach. Wszystko widział i słyszał. A potem Beata Z. zrobiła mu lepiej niż ksiądz i dała tysiąc dolków.

A co Obajtek uczynił z brudną pałą? – zapytacie.

Odpowiedzi szukajcie na Żoliborzu lub w kolejnym odcinku serialu „The Last of Us".

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI
pcwikla@redakcja.nie.com.pl

Dialogi dam w drodze do kościoła

GOŚKA DANISZEWSKA cieszy się, że Owsiak zebrał 150 baniek. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** była w teatrze i nie może się otrząsnąć ze wstrząsu.

Daniszewska: – No cieszę się. Nawet mu wybaczyłam tę zajebiście kosztowną kopertę, w której mi przysłał podziękowanie za fajki. Choć nadal mnie wkurwia marnowanie papieru.

Wołk-Łaniewska: – A właśnie: fajki. Widziałam, że przekroczyły dychę. Jako jedna ze stu aukcji na 40 tysięcy. Poszły za więcej niż wianek Moniki Olejnik. Gratuluję, choć Marszał cię przebił.

– A co sprzedaje Marszał?

– Siebie. Za 15 kafli.

– Jejku, a co Marszał ci zrobi za 15 tys. zł?

– Mnie nic, mnie na niego nie stać. Ale temu, kto go kupi, zaoferował cały dzień w swoim towarzystwie.

– I co będą robić?

– Memy.

– Znaczy zatrudni sobie asystenta, który mu za to zapłaci?

– Ale i tak najbardziej zaimponowali mi Make Life Harder, którzy wyniosą śmieci za 25 tys. zł.

– Kto to jest Make Life Harder?

– Influencerzy. Ponoć bardzo zabawni. 1,2 miliona ludzi ich ogląda.

– Co oni pokazują?

– Bardzo zabawne rzeczy. Np. siebie z workiem ze śmieciami i hasłem: „Miałem iść wyjebać śmieci, ale teraz się boję, że to puszczą w »Wiadomościach«".

– A puenta?

– To była puenta. Odnoszą się też z subtelną ironią do polskich przywar narodowych. Np.: „Naukowcy od lat próbują zrozumieć, jak to jest, że potomkowie Słowackiego, Konopnickiej, Prusa i Blanki Lipińskiej na widok książki potrafią zsiusiać się ze strachu w spodnie".

– Mówisz, że ilu ludzi ich ogląda?

– 1,2 miliona na Instagramie.

Fot. DAMIAN SZEWCZYK

– Chyba nie rozumiem tego świata. Może już lepiej opowiedz o teatrze…

– Z rozkoszą. Byłam na spektaklu „Zapamiętaj". To jest monodram o Karskim, zagrany przez Davida Strathairna…

– Wiem, kim był Karski…

– David Strathairn jest absolutnie najpiękniejszym mężczyzną na świecie. Odkryłam to w 2006 r., gdy go zobaczyłam w „Good Night and Good Luck", a od tego czasu tylko wypiękniał.

– I to tobą tak wstrząsnęło?

– Nie, choć obcowanie z absolutem, i to z pierwszego rzędu… Ale poza doskonałością estetyczną to jest też absolutnie wybitny aktor, który zagrał absolutnie wybitną postać i za cholerę nie rozumiem, dlaczego to Amerykanie musieli zrobić sztukę i film o Karskim. Zwłaszcza że nie było to zbyt skomplikowane zadanie, jeśli wziąć pod uwagę, że cały trwający półtorej godziny monodram składał się wyłącznie z jego wypowiedzi w wywiadach i fragmentów publikacji… Jak już zostanę tym dramaturgiem...

– Masz taki plan?

– Owszem, nawet się zapisałam na kurs pisania sztuki w Teatrze Powszechnym. W każdym razie jak już zostanę dramaturgiem, będę pisać wyłącznie monodramaty na temat postaci z historii najnowszej. Takich, co to często występowały w telewizji, żeby było dużo cytatów do wykorzystania. Wracając do Karskiego: absolutnie mnie obezwładniła opowieść o jego spotkaniu z Rooseveltem. Ja ją musiałam już słyszeć w „Shoah" Claude'a Lanzmanna, ale może wtedy utonęła mi w powodzi ogólnej straszliwości. A w „Zapamiętaj" wybija się na plan pierwszy.

– Nie wątpię, że mi ją powtórzysz.

– Owszem. Otóż Karski został przyjęty przez Roosevelta w lipcu 1943 r. I zdał mu sprawozdanie z tego, co dzieje się w Polsce – w takim celu został przyjęty – a potem samowolnie przeszedł do kwestii żydowskiej, opowiadając ze szczegółami, co widział w getcie i w obozie zagłady w Bełżcu. Do czego się zobowiązał wobec przywódców żydowskiego podziemia w Polsce i Szmula Zygielbojma w Londynie. A Roosevelt wysłuchał go uprzejmie, po czym zadał jedno pytanie: „Czy ja dobrze rozumiem, młody człowieku, że przed wojną Polska była krajem rolniczym? To pewnie mieliście dużo koni? Czy to polskich koni Niemcy używali do ataku na Rosję?".

– To 3 pytania.

– Mój błąd. Ale Roosevelta pewnie większy. Czy możemy uczcić pamięć prof. Aleksandra Krawczuka?

– Minutą ciszy?

– Skąd! Anegdotą. Teraz mogę ją już opowiadać po nazwiskach, bo wszyscy bohaterowie nie żyją. Otóż prof. Krawczuk był w klubie SLD postacią słynną ze swojej – powiedzmy – krakowskiej powściągliwości w wydatkach. A drugim porównywalnie oszczędnym posłem był ówczesny partyjny krezus Ireneusz Sekuła.

– Znałam obu. To byli nasi sąsiedzi.

– Sekuła miał taki zwyczaj, że gdy szedł z kimś do stołówki w Starym Domu Poselskim – która była wówczas naprawdę tania – to wyciągał najgrubszy banknot, jaki istniał, i mówił z udawanym zmieszaniem: „Nie mam drobnych. Możesz zapłacić?". I któregoś dnia Rysiek Ulicki…

– Także nieżyjący.

– Przecież mówię, że wszyscy nie żyją… Rysiek, który absolutnie kompulsywnie robił sobie jaja ze wszystkich, często organizując w tym celu skomplikowane intrygi, przyszedł do Krawczuka i mówi: „Sekuła się martwi, że ty nie chcesz z nim przejść na ty". Na co Krawczuk uprzejmie, że nie ma nic przeciwko. „No to on cię zaprasza na obiad". Po czym poszedł do Sekuły z tym samym przesłaniem…

– Żeby zaprosił Krawczuka na obiad?

– Nie, że Krawczuk zaprasza jego. Co powinno w obu panach wzbudzić pewne podejrzenia, ale nie wzbudziło. Zjedli ten obiad, zrobili flaszkę, dochodzi do płacenia, Sekuła jak zwykle wyciąga banknot dwumilionowy – to było jeszcze przed denominacją – i mówi: „Cholera, nie mam drobnych". A Krawczuk wyjmuje mu te dwie bańki z ręki i mówi: „Nie szkodzi, pójdę rozmienić". Wypijmy za pamięć prof. Krawczuka, który ogrom intelektu łączył z potęgą humoru. Był mądry i do tego uroczy.

– A swoją drogą, kto wreszcie wyjaśni, jak zginął Irek Sekuła, bo dlaczego, to ja wiem.

daniszewska@redakcja.nie.com.pl
awl@redakcja.nie.com.pl

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 5ca15fe926